



Głos ANGLII

TYGODNIOWY PRZEGŁĄD SPRAW BRYTYJSKICH

Rok II

Kraków, 15 listopada 1947

Nr. 46 (55)

Od Redakcji

Ostatni wkład Ameryki do dysku nad problemem Palestyny w Lake Success nie może pomóc Zgromadzeniu do osiągnięcia zadawalającego rozwiązania, póki nie rozpatrzy się problemu eklonienia jakiegoś przedstawicielstwa ONZ do wykonania decyzji, którą powezmą Narody Zjednoczone. Zdaje się, że delegaci Ameryki nie docenią znaczenia naszej opinii publicznej, która popiera odmowę rządu J. K. Mości w sprawie podjęcia dalszej odpowiedzialności za Palestynę poza ramy ogramiczeń, jasno określonych przez rząd. Ciągle jeszcze trwa nadzieję Amerykanów, którzy do niedawna byli jednymi z najostrzejszych krytyków naszej polityki w Palestynie — że W. Brytania da się mimo wszystko przekonać do dalszego sprawowania władzy w Palestynie (niedzielnie od wzmiękowanych wyżej ograniczeń), jako agent ONZ.

11 października rzecznik Ameryki, Herschel Johnson, stwierdził niejasno, że gotów jest wziąć pod uwagę pomoc, której mogłyby udzielić W. Brytanii Narody Zjednoczone — pod postacią wsparcia finansowego i międzynarodowej, cichociemnej policii. W ostatnim tygodniu wysunął natomiast propozycję rezygnowania nawet z tych niewystarczających symbolów odpowiedzialności Narodów Zjednoczonych.

Propozycja określenia ścisłego terminu dla stworzenia niepodległości Palestyny jest pozytywna, choćby ze względu na uspokojenie Żydów i Arabów; jednakże pozostałe elementy planu amerykańskiego przedstawiają wiele trudności. Poza zdecydowaną, konkretną odnową rządu J. K. M. w sprawie samotnego podjęcia odpowiedzialności za politykę, która wymaga użycia siły, skomplikowana sprawa kontroli nad przekazywaniem władzy nie leży z pewnością w możliwościach jakiegoś jednego kraju. A w każdym razie — dlaczego tylko Brytyjczycy mają narażać życie dla realizacji polityki, wytłkniętej przez ONZ? Ofiara życia brytyjskiego była już wiele; najwyższy czas, by inni też przyłożyli rękę do dzieła, szczególnie ci, którzy najgłośniej krytykowali nasze postępowanie w przeszłości.

Oczywiście — Brytyjczycy nie mogą uniknąć wzięcia jakiegoś udziału w realizacji nowego planu i uważa się, że Generalne Zgromadzenie ma prawo dowiedzieć się od W. Brytanii pozytywnie, jak dalece może na niej polegać.

Lecz uważa się także, że polityka amerykańska nie ewoluje — mówiąc delikatnie — ku realizowaniu.

Postawmy sprawę otwarcie: amerykańskie założenie, że nowy plan palestyński można zrealizować bez poważnych kłopotów na środkowym wschodzie — jest to marzenie rządu USA, który znajduje się między złotem i kowadem swych interesów wewnętrznych i interesów zagranicznych.

PRZED ŚLUBEM KSIEŻNICZKI



Pałac w Bidadalha, własność hrabiego i lady Mountbatten. Młoda para spędza tu pierwszy etap podróży poślubnej. Połowa pałacu jeszcze jest zajęta przez szpital.

W związku z obecną sytuacją gospodarczą W. Brytanii planowane uroczystości z okazji zaślubin księżniczki Elżbiety z por. Filipem Mountbattenem są raczej skromne. Nie będzie w tym dniu ogólnego święta, jedynie dzieci szkolne czterymają dzień wolny od nauki na specjalne życzenie króla. Władze samorządowe przygotowują dla dzieci skromne przyjęcia, tak samo, jak w dniu zwycięstwa. Ministerstwo żywienia przyznało już na ten cel niewielkie przydziały cukru, margaryny i dżemu (niecałe 4 gramy dżemu, 7 gramów margaryny i trochę ponad 7 gramów cukru na głowę). W przeszłości istniała zwyczaj, że w dniu zaślubin królewskich dzieci szkolne otrzymywały pamiątki w postaci kubków lub łyżeczek, ozdobionych portrecikami nowożeńców. Tym razem nie będzie żadnych pamiątek, a przyczynę tego zrozumie każdy, kiedy sobie przypomni, jak trudno dostać w sklepach brytyjskich kubki i łyżki, produkowane głównie na eksport.

Wzdłuż ulic, którym przejdzie orszak ślubny, nie będzie trybun. Ci, którzy będą mieli czas się przyglądać, będą musieli zadowolić się patrzeniem z chodników. Również i dekoracja ograniczona zostanie do minimum. Ozdobi się jedynie Whitehall i najbliższą okolicę pałacu Buckingham. Nie ulega jednak wątpliwości, że wiele osób wywieści z własnej inicjatywy flagi i przystroje domy. Trasa pochodu wytyczona zostanie szpalerem wojsk liniowych, ale żołnierze ubrani będą w zwykłe mundury khaki. Możliwe, że eskorta gwardii konnej wystąpi w galowych, błękitno-szkarłatnych uniformach, jeśli odpowiedni zapas tych strojów znajdzie się w jej magazynach.

Nr 48 (57) Cena 25 zł.

**SPECJALNY DODATEK
KOLOROWY
8 STRON**

**ŚLUB KS. ELŻBIETY
Z POR. FILIPEM
MOUNTBATTEN**

Reportaż fotograficzny z uroczystości ślubnych. — Tło historyczne. — Suknie księżniczki i drużek.

W samym opactwie westminsterskim będzie tylko 2.000 gości. Około 100 krzeseł zarezerwowano dla przedstawicieli trzech pułków księciów — dla grenadierów gwardii, dla „Argyll and Sutherland Highlanders”, oraz dla piątego szwadronu 16 pułku lansjerów. Dziewczęta z Pomocniczej Służby Krajowej, w której księżniczka służyła w czasie wojny, oraz funkcjonariusze dobr królewskich też mają przeznaczone dla siebie miejsca. I tutaj tradycja została uchylona: mężczyźni mogą być w zwykłych strojach, zamiast w obowiązujących dawniej zakładach i cylindrach, kobiety zaś w sukniach popołudniowych i kapeluszach.

Po ceremonii zaślubin odbędzie się w pałacu Buckingham śniadanie dla rodzin i najbliższych przyjaciół. Uroczysty bal, uświetniający zazwyczaj takie okazje, nie odbędzie się. Zamiast niego wydane zostanie w dniu 17 listopada popołudniowe przyjęcie w pałacu St. James, na którym pokazane zostaną prezenty ślubne. W dniu 18 będzie miało miejsce przyjęcie wieczorne w Buckingham Palace.

W czasie ślubu księżniczka wystąpi w otoczeniu ośmiu drużek i dwóch paziów, którymi będą jej młodzi kuzynowi — William, książę Gloucester oraz Michał, książę Kentu. Program muzyczny ceremonii opracowany został przez samą księżniczkę Elżbiętę. Chór opactwa westminsterskiego uzupełniony zostanie chórzystami z kaplicy pałacu St. James i z kaplicy St. George w Windsorze.

Najprzykrzejszym może ograniczeniem oszczędnościowym, przynajmniej z punktu widzenia księżniczki, będzie brak wyprawy ślubnej. Ministerstwo Handlu przyznało jej sto punktów odzieżowych, i to wszystko. Wystarczy to na suknię ślubną i kostium. Szczególny sukienki ślubnej, zaprojektowanej przez Normana Hartnella, nadwornego rysownika strojów królowej Elżbiety, a wykonanej z jedwabiu, wyprodukowanej na farmie jedwabników Lullingstone Castle w hrabstwie Kent, trzymane są w ścisłej tajemnicy.

Już od kilku tygodni prezenty ślubne napływają w wielkich ilościach. Księżniczka — odstępując od

W numerze:

**OKO W OKO Z KOPALNI
MIASTA PRZYSZŁOŚCI —
JUŻ DZISIAJ
EWOLUCJA I MATE-
MATYKA
„BLASKI I NĘDZE” KRÓ-
LA PERŁOWEGO
HISTORIA KULTURY
W POKOJU DZIECIŃNYM
ZDUMIEWAJĄCY GENE-
CARY**

czek od londyńskiego cechu ręka- czników, ograniczony został do połowy. Wiele ze składek na prezenty, zbieranych po urzędach i fabrykach angielskich, wyposaży szpitale w imieniu państwa młodych. Pralnie angielskie zbierają 1.000 funtów na utrzymanie jednego łóżka w londyńskim szpitalu dla dzieci. Dar miasta Ipswich, stolicy hrabstwa Suffolk, przyjmie formę nowego skrzydła domu starców, założonego przez dziadka księżniczki, króla Jerzego V. Księżniczka Elżbieta, od lat dziecięcych należała do harcerstwa, toteż harcerki z całego Commonwealthu opodatkowały się w wysokości jednego pensa, aby zakupić jej jakąś sztukę umebłowania — najprawdopodobniej — biureczko z krzesłem. Harcerki z Australii podjęły się przyrządzić składniki „oficjalnego tortu ślubnego”, którego zamierzony rozmiar i wagę księżniczka kazała znacznie ograniczyć. Oprócz niego ma być jedenaście innych tortów, które zostaną podzielone i rozdane po przyjęciu ślubnym według wskazówek księżniczki. Najprawdopodobniej obdarowane zostaną osoby, korzystające z opieki panny młodej oraz funkcjonariusze dworu. Gdy ponad sto lat temu — w 1840 — królowa Wiktoria wychodziła za księcia Alberta, na stole weselnym znajdowało się 101 tortów...



Drużki ks. Elżbiety: lady Elżbieta Mountbatten, córka lorda Gavina (na fotelu) i Hon. Małgorzata Elphinstone, córka najstarszej siostry królowej.

POGLĄDY PRASY BRYTYJSKIEJ

REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA

„DAILY HERALD” pisze: 30 lat temu robotnicy petersburscy na wezwanie Lenina zerwali się do buntu i narodziła się republika sowiecka. Było to wydarzenie, które, podobnie jak zburzenie Bastylii, zinienio cały bieg historii świata. Nie ma na świecie kraju, którego życie i sposób myślenia, nie byłby głęboko poruszone przez rewolucję rosyjską. Te 30 lat, to okres ogromnej przemiany, dokonanej pod naporom wielkich, zwalczających się sił. Samo Rosja zmienia się nie tylko w sposobie, jakiego pragnęły przywódcy rewolucji, lecz także w sposobie, którego nie mogli przewidzieć. Ale potęgę osiągnięcia trwającej. Od samego początku sympatii i przyjaźń robotników brytyjskich spontanicznie i instynktownie towarzyszyły robotnikom rosyjskim w ich walce. Ta sympatia i przyjaźń trwa nadal. Stosunki między państwami wypałyły się i nadwyrężyły na skutek nieporozumień, ale w tej rocznicę sięgamy myślą do głębszej, przeszłej i przyszłej przyjaźni. Interes obu narodów domaga się pokoju, koleżeństwa i współpracy.

SUKCES GENEWSKI

„DAILY HERALD” pisze: W Genewie zakończyła się pomyślnie konferencja międzynarodowa, bez precedensu w historii. Na końcowej sesji ogłoszono, że pomiędzy dwudziestu trzema państwami, prowadzącymi między sobą handel wartości 3/4 ogólnoswiatowej wymiany, zawarty został układ o zmniejszeniu cel.

Delegaci rozpatrywali początkowo projekt statutu międzynarodowej organizacji handlowej, wysunięty już w grudniu 1945 r. przez rządy USA i W. Brytanii. Statut ten raz jeszcze został przedłożony do ostatecznego przedyskutowania i zatwierdzenia światowej konferencji dla spraw handlu i zatrudnienia, która zbierze się w Hawanie 21. XI. br. Aby ułatwić stworzenie międzynarodowej instytucji, która na dalszą metę przyczyniły się mogły do dobrobytu świata, delegaci zebrali się już teraz dla sumowania zasadniczych faktów i określenia najpiękniejszych potrzebnych krajów.

Tak więc min. Wilson mógł już oświadczyć, że jeśli chodzi o W. Brytanii, zawsze ona umowy celne z piętnastoma innymi krajami, wliczając w to Stany Zjednoczone. Minister handlu jest w stanie udzielić zapewnienia o charakterze ogólnym, które winny rozproszyć podszepły propagandy, jakoby rząd brytyjski pozbywał się w Genewie korzyści imperialnych uprzewilejowań. Nie ma żadnych podstaw po temu, aby przypuszczać, że taki kurs został zamierzony, względnie przyjęty. W swoim oświadczeniu premier Attlee stwierdził jasno, że nie możemy nigdy zgodzić się na ograniczanie naszych przywilejów, dopóki nie zapewnmy sobie korzyści, które równoważyłyby je w pełni i że prowadzić będzie wszelkie negocjacje w najbliższym porozumieniu z innymi krajami Commonwealth.

Min. Wilson zapowiedział, że z chwilą ogłoszenia szczegółów zawartych umów, okaże się, iż tezy oświadczenia premiera zostały utrzymane w całej rozciągłości. Dodał przy tym, iż rozmowy pomiędzy krajami Commonwealth w Genewie zacieśniły współpracę gospodarczą Wspólnoty Narodów i otwierają dalsze forum do dyskusji na tematy ekonomiczne, obejmujące znacznie szerszy zakres, niż kwestie poruszane na samej konferencji.

Wiadomość o sukcesie konferencji genewskiej jest szczególnie krzepiąca w czasach, kiedy współpraca międzynarodowa na polu politycznym budzi coraz głubsze nadzieję. Rozmowy genewskie są próbą realizacji Kurty Atlantyckiej, zalecającej jak najścisząszą współpracę gospodarczą wszystkich narodów celem zapewnienia każdemu z nich wyższego poziomu życia i warunków pracy, postępu ekonomicznego i bezpieczeństwa. Założenia te są nadal podstawą wszelkich wysiłków, dających do ugruntowania pokoju.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA PODZIAŁ PALESTYNY

„YORKSHIRE POST”, komentując debaty Generalnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych nad sprawą Palestyny, pisze: „Prace Zgromadzenia posunęły się wyraźnie naprzód. Przyjmując za zasadę (choć sprawa ta nie została jeszcze poddana pod głosowanie), że projekt podziału Palestyny zostanie w tej czy innej formie przyjęty, komisja palestyńska zajęła się na razie praktyczną stroną przedłożonych propozycji, aby doprowadzić wreszcie do ich realizacji. Istnieją trzy projekty: Rosji, USA i Guatemały. Wszystkie trzy posiadają wiele cech podobnych.

Dla ustalenia poglądów Komisja wyłoniła Podkomisję, składającą się z przedstawicieli tych trzech państw i Kanady. Istnieje jednak jeszcze jedna trudność.

Ani Komisja, ani Podkomisja, ani Zgromadzenie Generalne, nie orientują się, jakie właściwie Palestyny chciałby rząd Wielkiej Brytanii i w jakim stopniu państwo to przygotowane jest do współpracy przy realizacji projektu.

Najwyższy czas, aby rząd brytyjski określił swoje stanowisko. Rosja i USA zgadzają się, że Palestyna powinna być podzielona na dwa niepodległe państwa: żydowskie i arabskie. Zgadzają się także i na to, że okres przejściowy, proponowany przez Komisję ONZ dla spraw Palestyny, musi zostać ograniczony do minimum.

Oba państwa są zgodne i na tym punkcie, że ONZ powinna wyłonić Komisję, która w okresie przejściowym miałaby nadzór nad Palestyną. Ale — Stany Zjednoczone chcą, aby najwyższą władzą w tym okresie było Zgromadzenie Generalne, Rosja zaś woli Radę Bezpieczeństwa.

Jak dotychczas, wszystko idzie nieźle.

Jednak ani Rosja, ani USA nie określiły, jaką siłę zbrojną będzie utrzymywać nad podziałem tego okresu.

Odstępstwo od swego pierwotnego projektu utworzenia polityki międzynarodowej, USA zaproponowały W. Brytanii, aby zgodała się wziąć

na siebie odpowiedzialność za ład w Palestynie przez 6 miesięcy.

Rosja, jak można dotychczas sądzić, jest raczej za utworzeniem siły zbrojnej państwa Arabskiego i Żydowskiego.

Tylko Guatemała proponuje wojsko wystawione przez małe państwa, ale „żywione i uzbrojone przez Wielką Piątkę”. Podczas obrad stało się jasnym, że żaden z członków nie podzieli brytyjskich obaw nagłego wybuchu wojny w Palestynie. Ale to już zależy od punktu widzenia.

Wszysko to nie jest wprawdzie idealnym rozwiązaniem sprawy, ale nie jest też tak złe, jakby się nam wydawało.

Nikt nie wymaga od nas wzięcie odpowiedzialności za podział Palestyny. Zostać się tylko zgody z decyzją ONZ, że podział w warunkach obecnych to jedyne i najlepsze wyjście z sytuacji.

Nie wymaga się od nas wywalczenia podziału. Chodzi tylko o to, abyśmy, opuszczając Palestynę — przekazali władze nad terytorium żydowskim — Żydom, a nad terytorium arabskim — Arabom.

Nie ulega wątpliwości, że dopóki wojska brytyjskie pozostają w Palestynie, powinniśmy bezwzględnie interweniować, gdy widzimy Żyda mordującego Araba, czy Araba mordującego Żyda. Ale zrobilibyśmy to i tak bez przypomnienia. Jasne, że wymaga się od nas współpracy z Komisją ONZ w administrowaniu państwa podczas okresu przejściowego. Ale to się przecież rozumie samo przez siebie, bo W. Brytania jest jednym z państw Wielkiej Piątki.

Jest tylko jedna poważna objekcja. Niebezpieczeństwo, że inne państwa arabskie mogłyby się nie zgodzić na podział i starać się zapobiec mu siłą.

Trudno w to uwierzyć, że odważą się na to wobec postawy W. Brytanii, Rosji i USA. Pewne jest jednak, że ta sprawa doprowadzi do dyskusji między zainteresowanymi rządami.

Ani bowiem departament stanu, ani Kreml, nie są naivne i na pewno nie zgodzą się na podział, który mógłby wywołać wojnę.

KINGSLEY MARTIN

Portret socjalisty

13 października br. zmarł Sidney Webb... Z pośród wielkich „fabiańczyków”, którzy w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia nadali formy brytyjskiemu socjalizmowi, pozostał jeszcze przy życiu tylko Bernard Shaw, który mimo swej dziewięćdziesiątki pisze ciągle z talentem i zapalem.

Spółka literacka Webbów przeała istnieć w chwili śmierci Beatrice, która Sidney przeżyła o cztery lata. Nikt dotąd jeszcze nie podniósł nadzwyczajnych zasług intelektu Sidney Webba. Zachodząc uderzające podobieństwo pomiędzy nim i Benthamem, radykalnym filozofem z końca 18-go i początku 19-go wieku. Podobnie jak Bentham, Webb studiował wszystkie zawartości brytyjskich instytucji swoich czasów, zarówno natury prawnej jak i politycznej, gospodarczej i społecznej i tłumaczył swemu pokoleniu, jak te instytucje działają. Wypróbował także ich użyteczność i zaproponował praktyczne i pozytywne ulepszenia. W swoich obszernych badaniach historycznych, jak i w dziele „O upadku kapitalizmu i potrzebie socjalizmu”, Webbowie dążyli do tego, by ulepszyć istniejące wtedy instytucje.

Charakterystyczne było ich powiedzenie, że wszystko, co zarobili przez całe życie ze swoich książek, ledwie wystarczyło na opłacenie tych, którzy pomagali im w prowadzeniu badań. Mogli egzystować tylko dzięki temu, że pani Webb miała 1000 funtów własnego, rocznego dochodu. Rodzice Sidneya Webba byli biednymi ludźmi. On sam rozpoznał karierę życiową jako skromny urzędnik w ministerstwie spraw wojskowych. Później przeszedł na niewielkie stanowisko w Ministerstwie — Kolonii, które opuścił w 1891 r., by ożenić się i rozpocząć długi i twórczy okres swojej pracy w Radzie Hrabstwa Londynu. Do Ministerstwa Kolonii powrócił w czterdziestu lat później jako minister. Zanim to nastąpiło, on i Beatrice nietylko ukończyli swoje

poważne badania historyczne: z ich domu w Londynie promieniowały na całą Anglię nowe idee i rozchoǳiły się nowe prady społeczne. Oni odegrali główną rolę w fuzji socjalistów i Trade-Unionów, z których wyłoniła się obecna Partia Pracy. Partia ta właśnie Webbowi zawiązała swoją ewolucyjne krystalizującą się formę socjalizmu. Sidney i Beatrice wierzyli w konieczność istnienia warstwy rządzącej. Uważali, że kapitalistyczna klasa rządząca składa się z ludzi niefachowych i chcieli zastąpić ich szeregiem osób naukowo wykształconych na dane stanowiska. Jeżeli ewolucja jest nieunikniona, to trzeba posługiwać się w niej wszystkimi istniejącymi możliwościami.

Państwo Webb przyjmowali u siebie tak dobrze zapowiadających się liberalów jak Lloyd George i Winston Churchill, byli przyjaciółmi Haldane'a, liberalnego członka Parlamentu i zwolennika reformy oświatowej oraz Balfoura, premiera rządu od 1902 do 1906 roku. Webb był tym, który naszkicował ustawę oświatową Balfoura. Na mocy tej ustawy, wydanej w 1902 r., władze samorządowe stały się po raz pierwszy odpowiedzialne za stan oświaty w swoich okręgach. Ustawa stała się więc jakby podwaliną szeroko zakrojonej akcji szerzenia oświaty. W kilka lat później wyznaczyła pani Webb do Komisji Praw Ubogich rozpoczęto niezwykły okres owocnych badań i pomysłów, z których powstała większość reform społecznych w następnym trzydziestoleciu.

Również Webbowie byli założycielami Szkoły Ekonomicznej przy Uniwersytecie Londyńskim oraz lewicowego czasopisma „New Statesman”.

Gdy w 1924 r. Webb został mianowany ministrem handlu, posiadał już zbyt naukowe podejście do rzeczy, aby być dobrym ministrem. Nie przeszkało mu to wcale być doskonałym urzędnikiem. W 1929 wstąpił do Izby Lordów ja-

ko minister Kolonii, lecz wkrótce wycofał się, aby zakończyć badania prowadzone wraz z żoną.

W tym okresie pochłonęły Webbową studia nad Rosją. Postanowili studiować socjalizm w akcji. „Starci ludzie” — mówili — „czym się zwykłe interesują, a przeważnie sami sobą. My woliśmy interesować się Związkiem Radzieckim”. Zwiedzili Rosję Radziecką i przez tłumaczy zapoznali się z nieskończoną ilością dokumentów i książek. Na przyjęciach u siebie w domu wypytywali wszyscy powracających z Rosji, bez względu na narodowość, o panujące tam stosunki. Spędzenie week-endu u nich na wsi, w Passfield Corner, było wówczas przeżyciem niezwykłym, choć nieco wyczerpującym. Ludzie powracający z wizyty u Webbowów do Londynu, czuli, że byli uczestnikami wspólnego intelektualnego i dugo pozostawali pod wrażeniem tego domu.

Mylene było ogólnie przyjęte mniemanie, że Sidney Webb był „nieludzki”. Jego to dalekie od prawdy. Był nieludzki tylko w tym znaczeniu, że posiadał zdrowy rozsądek w wyższym stopniu, niż ktoś inny. Był człowiekiem, dobrym i raczej do niego należało się zwracać o pomoc w potrzebie, aniżeli do Beatrice Webb, która łączyła w sobie dziwną mieszaninę wyższości arystokratycznej, niecierpliwości intelektualnej i purytańskiej moralności.

W przeciwnieństwie do żony, która zawsze interesowała się religią i komplikacjami charakteru ludzkiego, Sidney nigdy nie miał zrozumienia dla sztuki i religii i w swoich studiach społecznych traktował artystów jako specjalną grupę ludzi, którzy nie pasują do reszty społeczeństwa, ale w myśl zasad demokratycznych muszą mieć zapewnioną swobodę działania.

Najwybitniejszą może zaletą Webba była bezinteresowność. Chciał, by jego myśl wprowadzano w czyn i nie dbał o to, komu poczytała to za zasługę. Można o nim powiedzieć, jak o Benthamie, że cały świat go okrała i pozostawił go... bogatym.



— Tak tak, wiem że to moja kolej wyprowadzić pieska na spacer!
Za zezwoleniem właścicieli „Puncha”

SZALEŃSTWO ŻYWNOŚCIOWE

„DAILY HERALD” pisze. Sir John Boyd Orr, generalny dyrektor światowej organizacji żywienia i rolnictwa, zawsze bez ogródek głosi światu prawdy na temat jego szaleństw. Sir John nie ma politycznych, narodowych ani gospodarczych uprzedzeń; ostatnio zaaplikował państwu nowy zatrzyk trzeźwości. Przemawiając do światowej rady żywieniowej w Waszyngtonie powiedział — a nikt tego odwąznego Szkotu nie może nazwać strachają — że o ile zapasy żywności nie będą rozdzielone odpowiednio do potrzeb, „kryzys gospodarczy w zubożalym i roztrzepionym świecie mogą doprowadzić do zupełnego załamania się struktury ludzkiego społeczeństwa”. Faktem jest, że świat wciąż jeszcze nie produkuje dość żywności, oraz że istniejące zasoby nie są mądrze roz-

dzielane ani na rynkach międzynarodowych, ani lokalnych. Tegoroczne liche urodzaje pogarszają jeszcze sytuację. Jakiekolwiek podjęte kroki, by sprostać stawianemu przez Sir Boyd Orra zanemu nakarmienia głodujących państw „na płaszczyźnie interesu”, Stany Zjednoczone będą w tym musiały odegrać przodującą rolę. Są one jednym państwem, które posiada i żywność i dolary. Wiemy już, że w niektórych częściach Europy kleska głodu będzie tej zimy nie do uniknięcia, jeśli nie nadziejnie pomóc amerykańska i że nadzieję odbudowy tego rozbitego kontynentu opiera się na realizacji planu Marshalla. Dotyczy to nie tylko W. Brytanii, ile Francji i Włoch. W obu tych państwach znaczący procent ludności żyje na tak niskim poziomie, że rokłód społeczny i polityczny zbliża się tam w szybkim tempie. Cennych i bezstronnych informacji o kontynencie europejskim dostarcza czasopismo „Picture Post”, które cały jeden numer poświęca przeglądowi sytuacji żywieniowej w pięciu państwach europejskich. Korespondent i fotoreporter tego pisma kończą trzeźwy opis wszystkiego, co widzieli, w następujących słowach: „Mimo, że sytuacja żywieniowa w znacznej części Europy jest tak przykra, jest ona jeszcze rajem w porównaniu z tą, która nastanie po skonsumowaniu niedzych zbiorów z r. 1947”.

Program koncertów BBC nadawanych codziennie o godz. 22 na fali 1796 m.

Niedziela 16. 11. 47: Jazz brytyjski.

Poniedziałek 17. 11. 47. Saint-Saëns: koncert fortepianowy G-moll, nagrany przez Moisieiwitscha i orkiestrę filharmoniczną pod batutą Bazylego Camerona.

Wtorek 18. 11. 47. Strawiński. Suite „Ptak Ognisty”, nagrana przez londyńską orkiestrę filharmoniczną pod batutą Ansermeta.

Szroda 19. 11. 47. Kompozycje na fortepian i instrumenty dęte Franka Bridge i Eryka Fogg.

Czwartek 20. 11. 47. Dawne i nowe pieśni angielskie w wykonaniu Nancy Evans (alt) i Sinclair Logana (baryton). W programie utwory Dowlanda, Parryego i Williama Buscha.

Piątek 21. 11. 47. Muzyka amerykańska: Koncert na rożek Samuela Barbera. „Nasz świat” Aarona Coplanda.

Sobota 22. 11. 47. Kompozycje Henry Purcella: 3 pieśni.

OKO W OKO Z KOPALNIA

Jedna z najmodniejszych dzielnic Londynu. Ruchliwa ulica Oxfordu zatarasowana tłumami. Lecz co to: z jednej z kamienic wychodzą dziwni ludzie. Kaniste, osmarowane czernią twarze, na głowach hełmy ochronne, u szerszych pasów latarki w siatkach drucianych. Czyżby bogata w sklepy Oxford-street zamieniła się w kopalnię węgla? To górnicy przyszli do miasta. W ogromnej piwnicy, która jeszcze wczoraj była magazynem sklepowym, „urządzili” kopalnię. — Przybyli do miasta, aby pokazać ludziom Westendu, co dzieje się z węglem, zanim dostanie się on do pleca w mieszkaniu. Tu właśnie na Oxford-street londyńczycy spotkali się bodaże pierwszy raz oko w oko z człowiekiem z kopalni — a ten człowiek jest przecież dzisiaj najważniejszą jednostką boową w wielkiej bitwie o zwiększenie produkcji.

...A teraz pójdz dalej, przyjacielu londyńczyku, w dół ulicy: — w Hyde-Parku, w pobliżu Marble Arch zobaczy szyb kopalniany. A jest tak dobrze „zrobiony”, że nawet ci nieliczni, którzy wiedzą jak wygląda prawdziwa kopalnia, ulegli złudzeniu. — Radzę ci potem przejść się trochę wzdłuż ulicy oxfordzkiej. Znowu czeka cię niespodzianka. Oto wystawa, jakiej może nigdy jeszcze nie oglądł londyńczyk. Wszystko na tej wystawie, począwszy od rysunków i malowideł (często wysokiej klasy) — poprzez zabawki, modele lokomotyw, po czarno błyszczące rzeźby z węgla, to dzieło rąk walijkiego górnika. Walijczycy prezentują zwykle tą swoją sztukę na słynnych festiwalach, tak charakterystycznych dla ich życia.

Nad tego rodzaju wystawami roztoczyła opiekę Państwowa Rada Węglowa.

WRAZLIWOŚĆ NA WĘGIEL

Zapytacie zapewne, poco górnicy przyszli do Londynu, w jakim celu utrządzi się wystawy? Chodzi po prostu o to, żeby skonfrontować niejako producenta robotnika z konsumentem miej-

skim, a w ten sposób zbliżyć ludzi do problemu górnictwa. Chodzi o to, aby wszyscy zrozumieli, ile wart jest ten węgiel, którego w jesienne i zimowe dni pożąдают wszyscy. Można by nawet powiedzieć, że w zimie ludzie stają się wrażliwi na... węgiel.

Zaledwie w tydzień po objęciu stanowiska, nowy brytyjski minister opalu, 41-letni Hugh Gaitskell powiedział, że przemysł jest pierwszy — i przede wszystkim przemysł musi iść pełną parą. Wezwali wszystkich mieszkańców, aby ograniczyli konsumpcję gazu i elektryczności na przekąt najbliższych lat. Bo wydobycie węgla znajduje się ciągle jeszcze poniżej „bezpiecznego poziomu” trzech milionów 900 tysięcy ton na tydzień.

BOHATEROWIE FRONTU WĘGLOWEGO

Sytuacja węglowa jednak jest z każdym dniem lepsza. Czyja to zasługa? Oto, aby zwiększyć wydobycie węgla, górnicy, którzy pracowali dotychczas pięć dni na tydzień, zgodzili się teraz na przedłużenie godzin roboczych. Wiele kopalń wprowadziło sobotnie szyny, inne znowu dodają nadliczbową godzinę do normalnego dnia pracy. Te wysiłki górników pozwolą na wzrost wydobycia węgla o 150.000 ton tygodniowo. Tak, górnik brytyjski wie doskonale, że zwiększenie produkcji węgla prowadzi do uzdrawienia i zrównoważenia gospodarki Wielkiej Brytanii. I dla tego górnik pracuje częściej. A oto jeden z typowych meldunków z frontu górnictwa. W kopalni Glenrhonda wydobyto w ostatnim miesiącu znacznie więcej węgla, niż w każdym miesiącu ostatnich 80 lat. Godny do zanotowania rekord: 30 górników wydobywa tyle węgla, ile normalnie powinno wydobywać pięćdziesięciu szesnastu. Ostatnio opublikowano w całej prasie brytyjskiej szereg takich raportów pod tytułem „Trzy minutowe sprawozdanie narodowe”. Informują one opinię publiczną o sytuacji ekonomicznej kraju i środkach, przedsię-

wziętych dla poprawienia tej sytuacji. „Zwiększenie państwowej produkcji o 10%, to wielka zmiana i początek końca złego” — oto główny motyw tej publikacji. Jasne jest, że bez zwiększenia wydobycia węgla nie ma mowy o zwiększeniu produkcji przemysłu.

MUSICIE WYGRAĆ BITWĘ

Jednym z pierwszych odwiedzających wystawę „Górnicy przyszli do miasta” był marszałek polny Montgomery — szef Sztabu Generalnego Imperium. Chciał także zobaczyć prawdziwą kopalnię. Spędził więc dwie godziny pod ziemią w kopalniach Thorsby i Mansfield w hrabstwie Nottingham. Rozmawiał później z górnikami i ich żonami o swych wrażeniach z podziemia. Powiedział im: „Planowanie na dłużą metę, zdolność inicjatywy, praca zespołowa i zdecydowanie, pozwoliło nam lądować w Normandii, stoczyć wielką bitwę, pobić Niemców i dojść do Berlina. Wymacie te same atuty — powinniście wygrać bitwę o węgiel”. Marszałek polny Montgomery był szczególnie zachwycony pracą zespołową górników: „praca zespołowa tam na dole jest wspaniała” — powiedział — zdając u-



„Powinniście wygrać bitwę o węgiel” — powiedział górnikom marszałek Montgomery, podczas zwiedzania kopalni w pobliżu Nottingham.

branie górnicze po zwiedzeniu kopalni.

Górnicy są naprawdę godni pochwały. Trzeba ich poznać i zrozumieć — zbliżyć się do ich życia, tak dalekiego od życia przeciętnego mieszkańców. A krytycy, którzy wołali, że wydobycie węgla można by jeszcze zwiększyć, do-

stali należytą odprawę. Prezes Związku Zawodowego górników w Yorkshire, p. Hall, który zwiedzał ostatnio kopalnie amerykańskie, oświadczył kategorycznie: „Górnicy Stanów Zjednoczonych nie potrafią w warunkach angielskich wydobyć w ogóle ani kawałka węgla”.

Miasta przyszłości — już dzisiaj

Nie potrzeba na to setek lat: w Anglii ma powstać 20 nowych miast. Pomyślcie, ile wysiłków i pracy pochłonęły istniejące do dziś skupiska ludzkie. A tu — o 30 mil od Londynu, w jednej z najpiękniejszych okolic Anglii, zaczyna rosnąć nowe miasto. Miasto przyszłości — już teraz. A wkrótce zacznie się budować od fundamentów, od wytyczenia ulic i placów, dalsze miasta i miasteczka. Miasta angielskie są przepełnione — głód mieszkaniowy wzrasta, a przemysł rozwija się ciągle — i trzeba wszystkich i wszystko gdzieś zmieścić — rozlokować. W ten sposób odciążą się wielkie ośrodki przemysłowe. Nigdy i nigdzie dotychczas nie planowano na tak szeroką skalę, choć nie należy zapominać, że nie kto inny, lecz właśnie W. Brytania była pionierką miast-ogrodów. I właśnie ogrom doświadczenia nabity podczas budowania tych nowoczesnych skupisk ludzkich gwarantuje, że twórcy najnowszych miast przyszłości potrafią harmonijnie rozmieścić dwa zasadnicze elementy każdego miasta: dzielnice fabryczne i mieszkalne.

Wokół miasteczka Stevenage wyrośnie wielki ośrodek przemysłowy, w którym wygodnie zmieści się: praca ludzka i życie. Jądro pierwszego miasta tej „serii” powstaje już dziś: przeszło 12.000 przedsiębiorstw zgłosiło zapotrzebowanie na zamieszkania. W szczególnie stworzonej korporacji budowlanej zgłasza się setki ludzi chętnych do pracy: chcą być uczestnikami budowy nowego życia.

Ale zanim urodzi się prawdziwe 60-tysięczne miasto — musi powstać miasto „wstępne”. Tu właśnie rozlokują się budownicy miasta „prawdziwego” i oto niedawno pierwsi robotnicy rozbili obóz na peryferiach Stevenage, aby przygotować grunt pod budowę stu prowizorycznych domków. W domkach tych zamieszkają 500 ludzi, którzy położą fundamenty i wytyczą drogi nowego miasta.

Program kilku najbliższych lat, to postawienie 400 domów prowizorycznych, 200 domów z cegły i trzy bloki, w których znajdzie schronienie po 200 rodzin robotniczych. A później, z minuty na minutę, z godziny na godzinę, z miesiąca na miesiąc — powstawać będzie ciągle coś nowego. Od cegielki — do wielkich bloków mieszkalnych, skomplikowanych urządzeń fabrycznych, szerokich, asfaltowych magistrali. Zapewne interesuje was, kto jest twórcą tego ambitnego i śmiałego pomysłu. Zasadniczy plan sporządził Gordon Stephenson z ministerstwa planowania. Każdy z architektów przedstawia swoje plany Korporacji Budowlanej, której przewodniczy jeden z najsłynniejszych architektów brytyjskich, Williams Ellis. Z powstaniem projektu łączy się także imię czlowieka innego pokroju: to pułkownik A. C. Newman, jeden z bohaterów ostatniej wojny. Dowodził on słynnym desantem komandosów na St. Nazaire. Odznaczony został Krzyżem Wiktorii.



Oto mapa plastyczna jednego z miast, które wkrótce zacznie się budować, projektu znanego architekta brytyjskiego, G. A. Jellicoe. Obliczono je na 60.000 mieszkańców. Przyszli mieszkańcy miasta mogą się zorientować według mapy, jak będą żyli.

zorycznych, 200 domów z cegły i trzy bloki, w których znajdzie schronienie po 200 rodzin robotniczych. A później, z minuty na minutę, z godziny na godzinę, z miesiąca na miesiąc — powstawać będzie ciągle coś nowego. Od cegielki — do wielkich bloków mieszkalnych, skomplikowanych urządzeń fabrycznych, szerokich, asfaltowych magistrali. Zapewne interesuje was, kto jest twórcą tego ambitnego i śmiałego pomysłu. Zasadniczy plan sporządził Gordon Stephenson z ministerstwa planowania. Każdy z architektów przedstawia swoje plany Korporacji Budowlanej, której przewodniczy jeden z najsłynniejszych architektów brytyjskich, Williams Ellis. Z powstaniem projektu łączy się także imię czlowieka innego pokroju: to pułkownik A. C. Newman, jeden z bohaterów ostatniej wojny. Dowodził on słynnym desantem komandosów na St. Nazaire. Odznaczony został Krzyżem Wiktorii.

Teraz pułkownik Newman nie dowodzi już ludźmi uzbrojonymi w automaty, czy karabiny maszynowe. Jego podwładni za całą broń mają tylko lopaty i kilofy. A zadanie ich, to nie niszczenie, lecz budowa. Ten rodzaj pracy

Robotnik znajdzie sobie w takim mieście pracę w ciężkim, czy lekkim przemyśle. Pomyślanie o tym, by przerost jednej gałęzi przemysłu nie wpływał ujemnie na warunki pracy i swobodę jej wyboru.



Przedziwny widok na ulicach Londynu: górnicy „prosili z kopalni”.

DR. KENNETH MELLANBY

Nowe doświadczenia dietetyczne

Dr. Mellanby prowadził usilną pracę badawczą w londyńskiej szkole Medycyny i Higieny Tropikalnej, a także doszedł do poważnych wyników w badaniach nad muchą tse-tse we wschodniej Afryce. W czasie wojny, w związku z badaniami dietetycznymi, opisanymi w jego artykule i w związku z badaniami nad świnierzem i malarią, zorganizował ochronne zespoły ludzkie "królików doświadczalnych". Przebywał w południowo-wschodniej Azji jako wicedyrektor lekarskiej komisji badania tyfusu. W 1945 r. został odznaczony orderem Imperium Brytyjskiego za zasługi położone na polu sanitarnym wśród wojsk południowo-wschodniej Azji.

Wiele czasu upłynie zapewne, zanim człowiek będzie mógł wyprodukować tyle żywności, by zaspokoić żądania i potrzeby wszystkich. Dlatego też wiadomości, jakie możemy zdobyć odnośnie do sposobu, w jaki organizm ludzki asymiluje rozmaite gatunki żywności, mają poważne znaczenie dla wykorzystania istniejących zapasów. W czasie drugiej wojny światowej, kiedy w W. Brytanii byliśmy zagrożeni łodziami podwodnymi, przeprowadzono na ludziach kilka nowych doświadczeń z dziedziny dietetyki. Pierwsze badania dotyczyły chleba, który miał być dostarczany ludności w czasie wojny.

Kiedy pszenicę miele się na "pełnowartościową" mąkę razową, wykorzystuje się całe ziarno. Mąkę taką nazywa się czasem "stuprocentową". Przed wojną w W. Brytanii jadano zwykle biały chleb, który zawierał tylko 70% pszenicy; pozostałe 30% były to otręby i inne substancje. Ten tak zwany grys zużywany był zwykle na paszę dla bydła. Przymijmy, że jeśli dla celów konsumacyjnych wykorzysta się więcej pszenicy np. 85%, będzie to znaczyło, że wypiecie się o 15% więcej chleba z tej samej ilości pszenicy. Wydaje się, że to najlepszy sposób wprowadzenia oszczędności. W rzeczywistości jednak jest trochę inaczej. Po pierwsze zmniejsza się przez to ilość paszy dla bydła, po drugie człowiek może nie móc pozytycznie wykorzystać tej stosunkowo małej nadwyżki, a po trzecie możliwym jest, że te dodatkowe 15% mogą zawierać substancje szkodliwe dla człowieka.

By odpowiedzieć na te pytania, zorganizowaliśmy z prof. H. A. Krebsem serię doświadczeń. Chcieliśmy przekonać się dokładnie, co dzieje się, kiedy człowiek je mąkę z różnych przemiałów, t. zn. mąkę, zawierającą większą, lub mniejszą ilość pszenicznego ziarna.

Dla ludzi, poddających się doświadczeniom, okres ten, trwający przeszło 6 miesięcy, był raczej uciążliwy. Dieta była nie tyle przykra, ile monotonna w swojej jakości. Każdy kęs jedzenia, każdyłyk płynu był ważony i obliczany, a próbki zatrzymywano do analizy. Dla otrzymania jak najpełniejszych danych, poddający się doświadczeniom musieli dać do analizy również swoje odchody.

Główym naszym celem w tej serii doświadczeń było porównanie właściwości białej siedemdziesięcioprocentowej mąki i krajowej pełnowartościowej (85% przemialu), która została wprowadzona w czasie wojny przez brytyjskie ministerstwo wyżwienia. Wykazano, że organizm ludzki dobrze asymilował dodatkowe 15% pszenicy i tylko mała ilość okazała się niestrawna.

Przeprowadzono również badania nad ilością wapna, niezbędnego dla organizmu przy formowaniu się kości i zębów. Normalny dorosły człowiek, będący na odpowiedniej diecie osiąga "właściwą proporcję wapna", to znaczy, że jego normalne pozywienie zastępuje tę ilość wapna, która traci w odchodach. Czasami człowiek może mieć "proporcję negatywną", to znaczy, że traci wapno i uszczupla zapasy w or-

ganiźmie. Stan ten, jeśli się przedłuża, może mieć poważne konsekwencje.

Rozwijające się dziecko powinno mieć zawsze "proporcję pozytywną".

Obecnie wiemy, że zboża zawierają substancję zwaną kwasem phytynowym. Łączy się on z wapnem w pozywieniu i sprawia, że organizm go nie asymiluje. Pełnowartościowa mąka zawiera o wiele więcej kwasu phytynowego, niż mąka biała. Nie gra to roli, jeżeli pokarm zawiera dużo wapna (np. jeśli spożywa się dużo mleka), ale ma duże znaczenie, jeżeli pokarm zawiera małą ilość wapna. Udało się nam wykazać, że przy 85% przemiale mąki "krajowej" mąka taka miała niejaki wpływ na ilość wapna w organizmie, niemniej nie było to tak groźne, jak się obawiano. Brak ten można było bowiem wyroównać, dodając trochę wapna do chleba.

Przypadekowo inni uczeni, pracujący w tym samym kierunku, wykazali, że zwiększenie normy przemialu ponad 85% oznaczało dodanie znacznie większej ilości substancji niestrawnej do chleba, bez odpowiedniego równoważni-

J. B. S. HALDANE

EWOLUCJA I MATEMATYKA

Trudno jest dziś tłumaczyć i wyjaśniać poglady nowoczesnej nauki "szaremu człowiekowi". Współczesna nauka przybiera bowiem we wszystkich prawie dziedzinach formę matematyki.

Zresztą matematyka nie zawsze jest bardzo trudna. Studia nad dziedzicznoscia — np. przykładem wymagają większej znajomości matematyki, niż umiejętność gry w bridż. Coś nieco jednak trzeba umieć.

Jedną z gałęzi wiedzy, która nagle „przeszła na stronę matematyki”, jest nauka o ewolucji. Darwin myślał wyrazami. Jego dzisiejsi następcy myślą cyframi. Każdy, kto ma choć trochę doświadczenia życiowego, wierzy w ewolucję. To znaczy wierzy, że zwierzęta i rośliny żyjące w naszych czasach pochodzą od zupełnie innych zwierząt i roślin, jakie żyły w dalekiej przeszłości. Znajdujemy dziś tylko ich nieliczne skamieniny. Istnieje jednak wiele niepewności co do linii dziedziczenia i wiele sprzecznych poządów na samo pochodzenie ewolucji.

Większość biologów wyjaśnia sobie to wszystko teorią doboru naturalnego. Niektórzy jak np. Lamarck uważają, że cechy nabycie są dziedziczne. Powiedzmy, że karmisz dobrze kure — znosi ona wtedy więcej jaj. Jej córki będą również hajne jak ich wykarmiona matka.

Są tacy, którzy twierdzą, że ewolucja rzadzi Bóg. Jeszcze inni mówią, że wogóle nic nie wiedzą.

Pierwszym krokiem matematyków, gdy zainteresowali się ewolucją, było ustalenie skali czasu — (t. zn. ustalenie pewnych dat z historii Ziemi). Dokonano tego na podstawie analizy mineralów radioaktywnych. Otóż uran i tor stopniowo zmieniają się w ołów. Ołów o całkiem zresztą innym ciezarze niż ołów zwyczajny. Im starszy jest minerał radioaktywny, tym, oczywiście

w pozywieniu. Wydaje się, że o wiele ekonomiczniej byłoby dać tę resztę ziarna bydłu. Potrafi ono strawić to, z czym żołnierz ludzki nie może sobie dać rady. Ta cząstka zboża również zawiera dodatkową ilość kwasu phytynowego, który może być szkodliwy dla zdrowia, jeśli pokarm nie zawiera dostatecznej ilości wapna.

Następne doświadczenia dietetyczne, którym poddali się ochotnicy, miały zupełnie inny charakter. Tak w czasie wojny, jak potoku, a szczególnie w obliczu niebezpieczeństwa min morskich i łodzi podwodnych, rozbitkowie skazani są na długotrwałe przebywanie w łodziach ratunkowych. Rozmaici uczeni zajmowali się wynalezieniem najbardziej odpowiedniego rodzaju żywności dla zaopatrzenia łodzi ratunkowych, tak by robitkowie mogli jej używać z pozykiem dla zdrowia. Nie trudno było znaleźć odżywki syntetyczne, które mogły być dłuższy czas przechowywane, ale główna trudność sprawiała woda. Chcieliśmy przede wszystkim określić to minimum wody, które jest konieczne, by uchronić organizm ludzki od wysuszenia, a również dojść, jakie minimum wody mogło być najlepiej wykorzystane. Było to doświadczenie wysoce niemiłe. W tym wypadku ludzie przez 4 dni jedli suche pokarmy (suchary, czekoladę) i nie pili wody. Odchody zabierano do analizy. W ten sposób otrzymywano najdokładniej dane. Uzupełniliśmy jeszcze to doświadczenie, podając nietkrytym pacjentom małe ilości wody — jedną lub dwie małe filiżanki na dzień — i porównywanie skutki. Ostateczne rezultaty wykazały, że rzeczywiście duża ilość wody — minimum około 1 litra — była konieczna dla utrzymania odpowiedniego

stanu zdrowia i że mniejsze ilości wody działają głównie na stan psychiczny. Przy normalnym pozywieniu większość wody pobiera się w pokarmach, nie przyjmując jej w naturze. Jarzyny na przykład zawierają ponad 80% wody. To tłumaczy, dlaczego można czasem nie utracić zdrowia, mimo małej ilości przyjętego płynu. Lecz pokarmy, zawierające wilgoć, są oczywiście niemożliwe w łodziach ratunkowych.

Te doświadczenia nie wyczerpały oczywiście tematu w całości. Ciągle jeszcze potrzebujemy wielu dokładnych danych, dotyczących skutków, jakie wywierają na ludzki organizm różnorodne witaminy, albo ich brak. Długotrwałe doświadczenie przeprowadzono nad witaminą A. Jest to substancja rozpuszczalna w tłuszczy, która znajduje się w wątrobie, w trąbie i w podobnych pozywkach. Jest bardzo zbliżona do Carotyny — pigmentowego składnika tak wielu jarzyn. Pokarm zestawiono w ten sposób, że był pozbawiony witaminy A i Carotyny, a kilku osobników, poddających się doświadczeniu, żywioły się w ten sposób przeszło dwa lata. Z pewnością był to rekord wytrzymałości. Umożliwiło to nam określenie, jakie są pierwsze oznaki braku witaminy A, a dalsze dozowanie pozwoliło nam określić minimum potrzebne, by odzyskać normalny stan zdrowia. Ludzie poddający się badaniom przed doświadczeniem odżywiali się dobrze. Znaleziono w ich organizmach (głównie w wątrobie) zapasy witaminy A, wystarczające na rok. Ale w wielu stronach świata, np. na wschodzie, gromadzenie się takich rezerw w organizmie jest bardzo rzadkie. Natrafiano często na wielu ich niedobór. Podobne doświadczenie przyczyniają się do łatwiejszego wykrycia i uchro-

nienia organizmu od braku witaminy.

Laicy wyobrażają sobie nierzadko witamina A umożliwia widzenie „w ciemności” — lub raczej widzenie w świetle o bardzo małym natężeniu. Jednym z symptomów ostrego braku witaminy jest „kurza ślepotę”, ale związek między witaminą A, a tym stanem — jest jeszcze bliżej niewyjaśniony. Rozmaitych sposobów technicznych użyto, by stwierdzić zdolność osobników do widzenia w świetle przyciemionym. Doświadczenie trwało dwa lata i zebrano pewną liczbę nowych danych. Dowiedzieliśmy się, że pewne metody, których używano dawniej, by określić „kurzą ślepotę”, należą do poddanych krytyce, niektóre badania oparte na tych metodach prowadzą do niejasnych wyników.

Inne badania dotyczyły witaminy C (kwas ascorbinowy). Substancja ta znajduje się w owocach, a brak jej w pozywieniu wywołuje szkorkut. Poważne kliniczne wypadki szkorkutu są dość rzadkie, ale stwierdzono, że choroba ta, nawet w stadium początkowym, może predysponować cholesterolem do wielu patologicznych stanów: np. do złego gojenia się ran. Starano się określić minimum potrzebne dla organizmu kwasu ascorbinowego i skutki, jakie wywiera na organizm ludzki pozywienie, które nie zawiera tego minimum. Osobnicy poddający się takim doświadczeniom, żywili się specjalnym pozywieniem około roku. Poddano ich próbom fizjologicznym i psychologicznym. Najbardziej niemiłe były rany zadane umyślnie, by można było obserwować proces ich gojenia się.

Podaliśmy więc kilka doświadczeń, przeprowadzonych na terenie W. Brytanii w czasie wojny. Niektóre znalazły natychmiastowe zastosowanie. Najważniejszym jednak ich rezultatem były nowe zdobycze, jakimi wzbogaciły wiedzę. Bez nich dostęp w wielu dziedzinach byłby niemożliwy.

wiemy najwięcej o doborze naturalnym u człowieka. A przeciwnie, jeżeli chodzi o rośliny i zwierzęta, wiadomości nasze są bardzo skąpe. Przyczyna tego jest prosta. Życie człowieka z wszystkimi jego anomaliami dziedzicznymi po przodkach — łatwo można obserwować. Wiemy, jak długo żyją tacy niormalni ludzie i jakie rodzą dzieci.

Trudno jednak obserwować tak dokładnie dzikie zwierzęta. Biała myszka jest przystosowana do życia w niewoli, podobnie jak kolorkowa: żyje tak dugo jak kolorkowa, ma taką samą ilość potomstwa. Krzyżowanie zaś tych dwóch ras nie prowadzi wcale do zniknięcia myszy białej wśród potomstwa. Ale biała mysz nie potrafi się przystosować do życia w dziedzinie. Prawdopodobnie ma gorszy wzrok od normalnej myszy i łatwo też przez kolor swego futerka rzuca się w oczy wrogom.

Tak, naprawdę nie jesteśmy w stanie obserwować dokładnie tą dziedzinę. Biali kolorkowi przystosowani do życia w niewoli, podobnie jak kolorkowi, mają taką samą ilość potomstwa. Krzyżowanie zaś tych dwóch ras nie prowadzi wcale do zniknięcia myszy białej wśród potomstwa. Ale biała mysz nie potrafi się przystosować do życia w dziedzinie. Prawdopodobnie ma gorszy wzrok od normalnej myszy i łatwo też przez kolor swego futerka rzuca się w oczy wrogom.

Nie nieszczęście większość panów i panów, pragnących „ulewoszyć” rasę ludzką, uważa, że teoria matematyczna jest nieco za... sztywna. Nie ganie ich za to, że uważają matematykę za sztywną. — Ganie ich tylko, że bez koniecznej matematyki chce wprawiać prawa eugeniczne. Nie ma przecież sensu planowanie, powiedzmy, jakiegoś samolotu-błyskawicy, bez wiedzy matematycznej. To jest nawet bardzo niebezpieczne. Źle zbudowany samolot zabije zapewne załogę i pasażerów.

Ale fałszywe poglądy na biologię rasową mogą zaprowadzić do śmierci — miliony ludzi. Pokazał to już Hitler. Naprawdę według teorii higiena rasowa jest możliwa, lecz nie na taką skalę, jak się powszechnie sądzi. Moglibyśmy nie dopuścić do urodzenia się połowy chorych na hemofilię i jednej czwartej karłów. Naprawdę jednak popadlibyśmy zaraz w konflikt z wolnością człowieka. A wydaje mi się, że to nie ma sensu. Jeszcze trudniej będzie nie dopuścić do urodzenia się dzieci chorych umysłowo, z tej prostej przyczyny, że rodzice tych dzieci to przeważnie zdrowi ludzie.

Nie twierzę jednak, że nie będziemy kiedyś mogli zapobiegać przyjściu na świat dzieci chorych. Może będziemy potrafić je tak leczyć i wychowywać, że wyrosną na rozumnych ludzi.

Ale wróćmy do ewolucji. Myśle, że naprawdę dobór naturalny jest wybitnym czynnikiem ewolucji i wyjątkowo większość zjawisk nas otaczających. Nie wolno jednak operować samymi słowami w kwestiach tak zawiłych i trudnych — to zunelnie taki sam nonsens jak dyskusja poparta tylko słowami na temat, czy jakiś nowoczesny samolot będzie, czy nie bedzie latał szybciej od glosu.

Fakt, że wiedza operuje matematyką i to najczęściej jest jedną z głównych trudności tłumaczenia jej i popularizowania.

Lekarstwo: dzieci powinni się uczyć więcej matematyki. Można by to przecież przeprowadzić pod warunkiem, że matematyka będzie miała jakiś związek z życiem realnym dziecka. Trzeba unikać nonsensów w rodzaju zadań: „ile kosztują jaja?”. Ceny jaj i tak podlegają specjalnej kontroli.

Ale dopóki moi czwierćnocy nie znają dobrze matematyki, muszą pisać o prawdach wiedzy bardziej do matematycznie, niż to naprawdę lubie.

(Daily Worker)



Król perłowy przegląda swoje stroje.



Mała Brenda wysiąpi po raz pierwszy w perłowym stroju.



Król perłowy i jego żona w „wielkiej galii”.

„BLASKI I NĘDZE”

Wśród oryginalnych i malowniczych typów spotykanych na ulicach Londynu, najciekawszym bodaj jest zwykły handlarz uliczny, a zwłaszcza egzotyczny „Król Perłowy”. Postać ta należy już teraz do rzadkości, a dzisiaj sprzedawcy nie wiele mają wspólnego z tradycyjnym „Cockneyem” i jego przedziwnym ubraniem, jego zaprężonym w osła wózkiem i jego oryginalną gwarą.

Stary typ ulicznego sprzedawcy miał największe znaczenie około roku 1860, kiedy było ich tak wielu, że gospodynie mogły załatwiać wszystkie zakupy przed progiem własnego domu. W owych latach ulica rozbijała melodyjnym nawoływaniem sprzedawcy skórek króliczych i wędrownego blacharza z naręczem cennych garnków cynowych, świdrującym głosikiem dziewczynki z rzeżuchą, wołaniem chłopca sprzedającego resztki mięsa dla kotów i krzykami olbrzymich woźniców. Podczas wojny austriacko-pruskiej zdarzyło się kiedyś, że przekupnicy porwali przechodzącego generała austriackiego, zanurzyli go w kadzi z zacierem, po czym zdzieliwszy go batem pognali przed siebie.

W zimowe popołudnia miły zapach pieczonych kasztanów rozchodził się z przenośnego piecyka, a staruszek sprzedający obwarzanki dzwonił, by zwrócić na siebie uwagę. Przekupień z koszem ostryg czekał na szczęśliwą rękę, która znajdzie u niego muszlę z perłą. W sobotnie wieczory na rogach ulic śpiewak ballad, wywieszał swoje podniszczone nuty. Ulice Londynu ożywiały się często produkcjami akrobatów i kuglarzy. Królem tego tłumu był przekupień z tacą pełną owoców. On to był wesołym i pełnym uroku typem, o żywym usposobieniu i błyskotliwym dowcipie, który panował nad ulicą. Bywał nieraz zarozumiały i kłopotliwy — modniś swego rodzaju — nie zapominał nigdy języka w gębie i dawał sobie radę w każdej sytuacji. Nie bał się ani Boga, ani groźnej policji.

Sprzedawcy jabłek już w XVI wieku mieli swój związek, rodzaj własnego cechu. Związek odbywał zebrania i członkowie chodzili wspólnie



Rodzina króla perłowego.



Uczestniczka orszaku przymierza kapelusz.



Linda i Brenda Matthews są wnuczkami króla perłowego. Ich stroje są spuścizną rodzinną. Trudno o nowe kostiumy ze względu na brak perłowych guzików.



stroje rodziny króla perłowego są porośnięte dziewiętnastowiecznej mody.

KRÓLA PERŁOWEGO

na doroczne nabożeństwa. Oryginalnym zwyczajem był wybór króla perłowego, który odbywał się w każdej parafii z osobna. Tak zwany „Pearly King” był to początkowo „władca bezrządu”. Wybierało się go w dzień targowy, lub w inne święto, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia, żeby wykupić burmistrza i urzędników parafialnych.

Ubiór „władcy bezrządu” był fantastyczny, nie koniecznie ozdobiony guzikami z masy perłowej, ale wstążeczkami, koronkami, pierścionkami, broszkami, których chętnie pożyczały mu rozbawione dziewczęta. Król dobierał sobie dworzan i straż przyboczny, po czym dosiadał konia na biegunach w otoczeniu swojej orkiestry. W okresie świątecznym „władca bezrządu” mógł sobie na wszystko pozwolić. Dawniej wprowadzał swój rozhukany orszak w groteskowych maskach i ze szminką na twarzach, nawet do kościoła. Nicponie ci śpiewali nieprzyzwoite piosenki, grali w karty na ołtarzu i wygłaszały parodie kazań. Zabawa trwała cały dzień i całą noc, a tłumny orszak sprzedawał odznaki, które wszyscy kupowali na znak poddania się „władcy bezrządu”. Kto nie miał takiej odznaki, narażał się na to, że go obrzucią gnojem końskim lub że go zanurzą w kadzi z deszczówką. Ten „władca” był ulubieńcem całego sąsiedztwa, wszyscy go obcaływali, karmili ciastkami i poili piwem.

Sto lat temu w odleglejszych dzielnicach Londynu zabawa ta polegała jedynie na rozwyciągnięciu. W niektórych dzielnicach wszakże na „władcę bezrządu” wybierano najgodniejszego z przekupniów dla jego zasług, a nie dlatego, że był skory do bitki. Reformatorzy społeczni z połowy XIX wieku uznali, że Król Perłowy jest jedną z okropnych pozostałości barbarzyństwa, która upadabnia dzielnicę West End do prawdziwego piekła. „Władcy bezrządu” zastąpili pobożni parafianie, odziani w ubrania, obszycie guzikami z masy perłowej; zbierali oni pieniądze nie na hulankę, ale na szpitale miejskie. Władza „perłowego króla” podupadła obecnie, a strój jego przywdzięcha się tylko wyjątkowo dla dodania uroku dobrotelnej zbiórce ulicznej.

SID CHAPLIN

KLATKA

Górnicy wychodzili z kopalni. W głębi szybu, na wyrębie, stało czterech mężczyzn — czekali. Oświetlenie było dobre, mimo to każdy z nich trzymał w ręku zapaloną latarkę elektryczną. Wszyscy byli jednakowo ubrani w bryczesy, ze skórzanymi łatami na kolanach. Twarze miedzi czarne od pyłu węglowego, podkreślane strumijkami potu — oczy, a rączek białka oczu, niesamowicie błyszczące w ciemnych twarzach. Wszyscy byli do siebie podobni; różnili się tylko wzrostem, budową i sposobem, w jaki każdy nałożył hełm na głowę; Rainbird niesadził go na bok, Joe naciągnął na uszy, Bainbridge włożył hełm jakoś niedbałe, Carr dał skiem do tyłu.

Czekali na windę — miała ich zanieść na powierzchnię, w przyjemny, letni wieczór, do domu. Zmiana szyby; byli zmęczeni. Obmyją się w domu z węgla i ze zmęczenia. Winda podjechała do poziomu, bramka się otworzyła, weszli do nagiego, stalowego pokoju. „Wchodź”, powiedział sztygar, przytrzymując bramkę. Dał sygnał „gotów”, i stalowe pudełko z czterema ludźmi gładko uniosło się w góry.

W połowie drogi coś się stało — pudełko zakołysało się od zderzenia, górników zbiło z nóg. Żaden się nie odeszwał, nie było na to czasu, każdy szukał oparcia w tym makabrycznym tańcu — żaden go nie znalazł. Trafieli na piątaninę nóg i ramion — winda się zatrzymała, a stalowa rama, drgnawszy kilkakrotnie, zmariała. W ciszy, która nastąpiła po grzmiącym zderzeniu, spostrzegli, że winda jest nachylona pod kątem 45 stopni. Wstawali z trudem, chwytali się za bezpieczajace rampy.

„Zgubilem gdzieś latarkę”, powiedział Bainbridge. „Trzeba było ją przymocować do paska”, odrzekł Rainbird. „Zawsze jesteś takim zatraconym leniem”. Carr potrząsnął bramką. „Uważajcie z nia” powiedział, „nie jest bardziej mocna. Gdzie jest Joe?”. „Tutaj”, odeszwał się głos z pochyłego kąta, „zgasło mi latarkę”. Ujrzał ją potężną postać z nogami wspaniałymi o podłogę, uczepioną rampę — kropka potu spłynęła mu po czołku i spadła z policzka w ciemność.

„Co się stało?” zapytał.

„Zderzyliśmy się”, powiedział Rainbird, założąc się, że wpadła na nas klatka, jadąca w dół”.

„Niemóżliwe” powiedział Bainbridge, „lina przewodnia byłaby temu przeszkodziła”.

„Co się popsuło” powiedział Carr, „trzeba się przekonać co”. Nastąpiła chwila ciszy. Starali się ogarnąć położenie. Szyb miał 450 m głębokości. Jechali do domu, byli brudni i zmęczeni — w pierwszej chwili wydawało im się, że wypadek jest tylko drażniącym opóźnieniem. Byli zbyt zmęczeni, by móc myśleć. Należało im się mycie i posiłek — na rozmysłanie będzie wtedy dość czasu.

„Wyjrzysz na tam, Joe” powiedział Carr — „Zbadaj, co widać”. Słyszał, jak szurając po stalowej ścianie zbliżył się do wylotu windy. „O Boże, lataarka mi zgasła” odeszwał się. „Przekańc kontakt” zawołał Carr, zderzenie pewno wylączyło prąd! Ze szczytu pochyłości błysnęło światło.

„Masz rację” powiedział Joe. Zobaczył, jak Joe nachyla się i wygina, próbując zajrzeć tam, gdzie dociera światło lataarki. Coś mruknął.

„Cóż takiego, Joe” spytał Carr. „Lina złuzowała”, odparł Joe. Lataarka oświetliła ich. „Odrwóz lataarkę” rzekł Bainbridge, „osłepią mnie”.

„Lina wiś, jak pętla” powiedział Joe. „Czy to lina od windy, czy pomocnicza?” spytał Carr. „Dość grubą” stwierdził Joe.

„Wiedziałem” powiedział Rainbird z triumfem, „zderzyliśmy się z drugim wagonikiem i on się na nas oparł — nie ma dwóch zdan”. Carr zaczął się drapać po pochylności, a buty jego zgrzytnęły po stalowym dnie. „Stop”, powiedział Bainbridge, „Coś tam słyszę”. Carr zatrzymał się — rozległy się jakiś dźwięk. Słyszać było monotonne, ciche skrzypienie, jak głos świerczaka za kominem. „To lina” mruczał spokojnie Carr, „diabło ją obczały”. „Jaka lina?” zapytał Bainbridge.

„To trzeba zbadać”, powiedział Carr i dalej się drapał. „Ale jak?” odeszwał się znów Bainbridge, „za trzesnęło nas tu, jak kanarki w klatce”. „On się wygramoli” zapewnił Rainbird, „będzie mógł się przekonać — on się zna na szybach, całe życie miał z nim do czynienia”. W głosie jego brzmiało ogromne zaufanie — Carr był jego dugoletnim towarzyszem pracy w kopalni.

Carr dotarł do szczytu pochyłości. „Posuń się trochę” powiedział do Joe'a. „Poco?” zapytał Joe. „Tak, żebym mógł otworzyć bramkę”. „Boże drogi, nie rób tego człowiekowi, co będzie, jak winda się przechyli?”. „Będziesz musiał mocno się trzymać,

chyba, że masz ochotę na przejażdżkę — nie szkoda ci spodni?”

Humor drgający w głosie Carr'a, powstrzymał przypływ rosnącego strachu. „W porząku” powiedział Joe i usunął się na bok. Bramka otwarła się na oścież. Carr podciągnął się na ręce i po chwili widać już było tylko dyndażące nogi. Nogawki podjechały do góry, ukazując nagą skórę rydka. Wiedzieli, teraz ciękie buty, kolyszące się bezwładnie, potem kipiące z wysiłkiem, a wreszcie usłyszeli chrobot, z jakim towarzysz ich gramolił się na wierzch wiatry.

Nasłuchiiali z uwagą. Dochodziło ciękie dyszenie z piersi rozkrzyżowanego na pochyłym dachu Carr'a. Carr zbliżał się już do pięćdziesiątki, a to niedobry wiek na wspinanie się i na balansowanie po środku szybu, z pięciuset metrami czarnej pustki pod nogami. Jeden fałszywy krok...

Carr nie był na tyle otępiły zmęczeniem, aby nie zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji. Wiedział, że zderzenie musiało nadwyrzucić liny i wiedział, co oznacza ich skrzypienie. Toteż, gdy rozciągnął się na brzuchu na ścisłej powierzchni dachu, zaczął przyglądać się linie wyciągowej. W zasięgu jego lataarki była nietknięta. Wydał westchnienie ulgi, przyglądał się liniom do chłodnej, stalowej płyty i zamknął oczy. Miał ochotę odpocząć chwilę, ale skrzyp naprężonej liny zaniepokoił go znów. Podpiął ostrożnie do środka dachu i z wysiłkiem podniósł się na nogi. Mógł teraz dokładniej zbadać sytuację. Tak jak przypuszczał, winda ich podtrzymywała drugą klatkę. Tamta przechyliła się na bok, opierając się jednym rogiem o ich wagonik, a drugim zaryła się w cembrowinę szybu. Wparła się tam mocno. Jej lina związała wokół festonami. Ci w środku usłyszeli czuranie

rzeli na Carr'a. „A teraz co?” powiedział Rainbird. Carr oświecił latarkę kąt pudla, wbity w ścianę szybu.

„Jak tamta klatka się urwie, nasza pojedzie za nią — zleci ośmnaście metrów, potem, jeśli lina wytrzyma, zatrzyma się i ustanie. Gdybyśmy mieli pasy bezpieczeństwa, moglibyśmy przytroczyć się do łańcuchów. Jak ci z góry się zbliżą będziemy do nich wołać — może zdąją zabrać dwóch naraz — dwaj pozostali mogą się przytroczyć do łańcuchów”.

„Kto zostanie?” ostro zapytał Bainbridge. Nastąpiła dłuża cisza — wreszcie odeszwał się Bainbridge: „Będziemy losować”.

Carr położył do kąta, zdjął pas i znalezioną w kieszeni kredę wypisał na obu jego stronach szereg cyfr: jeden, dwa, trzy, cztery. Po jednej stronie skreślą trójkę i czwórkę, potem odwrócił pas i odsłonił zwykły szereg cyfr.

„Biorę numer „ jeden” powiedział Joe.

„Dla mnie trójkę”, powiedział Bainbridge.

„Dwa”, odeszwał się Rainbird.

„Została czwórka” powiedział Carr z uśmiechem, choć głos mu z lekka zadrżała. Do każdej cyfry powpisywał inicjały towarzyszy i odwrócił pas.

„Cyfry przekreślone oznaczają tych, co pozostaną — to znaczy, że Joe i Rainbird idą pierwsi”. Nikt się nie spierał — los, przeznaczenie. „Ty chłopce i ja zaczekamy na drugą turę”. Carr zwrócił się do Bainbridge'a — ten skiniał, a małecka kropka potu spłynęła mu po nosie.

„Pisia krew”, powiedział Rainbird, „nic nie zaszkodzi poczekać na tę drugą turę — zresztą Carr to mój pomocnik — nawet mi nie wypada go opuścić”.



butów Carr'a. Usłyszeli też w jednoetajnym skrzypieniu liny nowy, przeklinliki i krótki dźwięk. To jedno z włókien pęki z metalicznym bzykiem. Głowa Carr'a podskoczyła, jakby podciągnięta sznurkiem. Dwa metry ponad umieszczone na środku dachu zaczepa, oba końce zerwanej struny drgały drobno. Zaciągnął wargi. Z dołu dobiegły go zduszonego głos: „Carr, co to było?”, „Nic” — odparł.

Powoli weszły się z powrotem i wychyliły ku otwartej bramce. „Joel” — „Tutaj, Car!” — „Chce żebyście tu wszyscy przyszli”. „Za gruby jestem, pia krew na taką wspinaczkę” — jęknął Joe. „Wylączę po jednemu” — rzekł Carr. „Ja pomogę. Powiedz Rainbirdowi, żeby szedł pierwszy”. Rainbird i Bainbridge wydrapali się na dach kolejno. Potem Joe. Był gruby i niezgrabny. W pewnym momencie posiągnął się. Ogromna waga jego ciała zaciągnęła ramionem towarzyszy, wyrwała je niemal ze stawów. Udało mu się wreszcie zaciągnąć stopa o wystającą głowkę nitu. Położył się wszyscy na chłodnej blacie i odpoczywali.

„Ty beczko” — sapał Rainbird. „Masz tonę węgla w każdym bucie”. Joe nie mógł wykrztusić słowa.

„Słuchajcie, chłopcy” — odeszwał się Carr — „sprawa jest taka: zderzyliśmy się z drugą klatką. Tamta opiera się o naszą i ma osiemnaście metrów luźnej liny. Nasza lina nawała. Dopiero co trzasnęło jedno włókno. To było właśnie to, coście słyszyli. Jedyną naszą szansą jest dość się do drugiej klatki i wolać, żeby przysiali nam pasy bezpieczeństwa. Musimy przywiązać się, żeby nas nie zmiotli, kiedy klatka poleci swoich ośmieniąt metrów. Zrozumiano?”

„Jak oni nas dosięgną?” pytał Bainbridge. „Wyciąg i paka” wytłumaczył Carr. „A teraz wyróżni się stąd”.

Pozłoto całkiem gładko. Dwie dalsze struny pękiły, a szarpane nuty odezwały się echem w ludziach — były to bowiem struny życia. Nawet Joe zdołał się wygramolić do drugiej klatki bez niczyjej pomocy. Zasiedli na środku przewróconego pudła i spoj-

„Głupiś” powiedział Bainbridge, „wypadło na mnie, to i zostań”. — „Gdybym chciał się spierać, to bym tak powiedział — masz rodzinę, chłopce” lagodnie odrzekł Rainbird.

Carr przeciągnął dyskusję: zanim się zjawią, najlepiej będzie przysunąć się do łańcuchów, żeby mieć czego się uczyć, jak puści się zakolysze. Podsunęli się do samej krawędzi.

„I tak nie bardzo tu bezpiecznie”, powiedział Joe. „W razie czego strzepnie nas stąd, jak muchy”.

„Co za gadanie” mruknął Carr, „w gorszych było się opalać — tylko się mocno trzymajcie — nie ma innej rady — trzymać się mocno”.

Spojrzał za krawędzią klatki: ciemność zwęzała się w maleńkim kwadracie złotego świata na dnie szybu. Stali tam parę minut temu, dowcipkowali, byli bezpiecznymi, normalnymi ludźmi, było im dobrze — zdawało się — wieki temu — popatrywał w górę i zobaczył niski blask świata dziennego.

Z tym nikłym światłem były domy i ludzie, sklepy, piwiarnie, rozmowy, przypadkowe wiadomości. Byli tam jego przyjaciele — nie był żonaty — nikt się o niego nie zaniepokoi. Carr lubił ludzi, miał wiele przyjaciół, przeważnie mężczyzn — a także kilka kobiet. Ale uczucia te nie były zbyt głębokie — był raczej odsobiony — a teraz, kiedy życie jego wiązało na kilku nadwyrzędowych strunach, zaczął się tym właśnie kłopot. Cieszył się, że nie ma żony, który się o niego martwiła, ale zapragnął, żeby się ktoś o niego zatrzymał — ktoś, który się pomodlił. Złapał się na tych myślach, jak na dowódce głabości — postanowił o nich zapomnieć.

Było lato — wieczory były łagodne i pachnące, można by się przejść, zkurzyć fajkę, napić się czegoś i porozmawiać — pochodzić pod drzewami, popatrzeć przez gałęzie na niebo, na którym mrugają gwiazdy — zjeść kolację i dobrze się wypaść.

Wierzył w siebie — wierzył w swoją gwiazdę — ale przegnał już się z kopali wydostać.

W szybkie rozległo się wołanie. „Hallo, Hallo” odpowiedział Carr — natężył wzrok, by przebić ciemność, dojrzał małenki żółte światelko, które zaczęło rosnąć w miarę zbliżania się, otaczać szyb pastwem jaśniejszości.

Nawoływanie rozległo się znowu, głuchym echem odbijając się od ścian szyby — jak w obrzędzie jakiegoś trąbie. „Czy macie pasy?”. „Pasy”, odpowiedziało echo. „Mamy”, „Mamy”, powtórzyły ściany.

W „pace” był tylko jeden człowiek — do jednego z łańcuchów przytwierdzony był gong. Człowiek uderzył w gong, paka się zatrzymała obok wywróconej klatki.

„No co, Jim” powiedział Carr, zagiadając do „paki”, jak myślisz, zmieści się tam trzech ludzi? „Zabiorę trzech” odpowiedział Jim i wrócił po ostatniego.

Spojrzał pytając na górników. „Dobrze” powiedział Carr, „ja poczętam — dalejże chłopcy, wsiadajcie”. Joe i Bainbridge wleźli do paki. Rainbird z rąk na jej krawędzi, zawała się i odwrócił, by popatrzeć na Carr'a. „Na co czekasz, Dicky, ruszaj” powiedział Carr niecierpliwie, „on po mnie przeciecz wróci”. Wyjął pas z paki i zaczął się nim zabezpieczyć.

„Sam tu zostaniesz?” spytał Rainbird, „Spiesz się, Dicky, to nie pierwszy raz zostaje gdzieś sam”, powiedział Carr, położył się na klatce i zaczął po kolejnych myślach, jak na dowódce głabości — postanowił o nich zapomnieć.

Rainbird wgramolił się do paki, trzykrotnie uderzył w gong — paka uniosła się w górę — Carr odwrócił głowę, by patrzeć jak twarze towarzyszy oddalały się w ciemności — patrzył, aż mu kark zesztywniał, a blysk latarki zmienił się w maleńką gwiazdę. Wtedy ułożył się wygodniej, przy śpiewie naprężonej linie.

OSZCZĘDΝIE I CIEPŁO

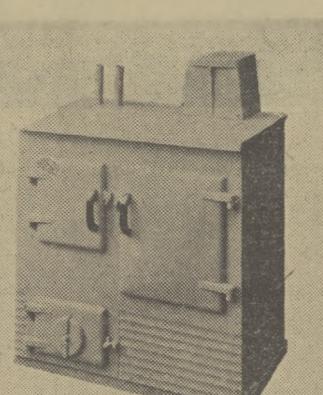
kie kombinacje materiałów budowlanych i jakie urządzenia w domach najłatwiej zatrzymują ciepło i czym najlepiej ogrzewać mieszkania.

Domy, o których mówiliśmy, zbudowane są identycznie, różnią się tylko stopniem „izolacyjności” ścian. Rozróżniamy cztery takie stopnie. Tak więc dom, nazwany go „Nr 1”, ma ściany zbudowane z podwójnej warstwy cegły, to znaczy jakby dwie równoległe ścianki, oddzielone od siebie pustą przestrzenią. Wykończone są tynkiem, okna mają pojedyncze.

„Nr 2” różni się od pierwszego tylko tym, że przestrzeń między ścianami wypełniona mieszaniną żużlu i betonu. „Nr 3” ma ściany zewnętrzne uszczelnione specjalnym materiałem nieprzepuszczającym ziarna. Wewnętrzne pokryte są warstwą korka pod tynkiem. „Nr 4” ma ściany zewnętrzne tylko z cegiel, za to wewnętrzne pokryte są mieszaniną cementu i żużlu. Okna podwójne we wszystkich pokojach.

Po dokonaniu pomiarów w tych domach przekonano się, jakie materiały przepuszczają najmniej zimna, a pozwalały na jak najdłuższe zatrzymywanie ciepła w mieszkaniach. Okazało się też, że oszczędności na opałie w takich specjalnych domach są znacznie większe, niż koszty ich budowy. Naturalnie eksperymenty prowadziły się dalej. Mieszkania domów zaopatrzone są w termometry, rozmieszczone w każdym pokoju, kuchni i łazience.

Wykonane są tynkiem, aby widok tych



przyrządów nie szpecił mieszkań, umieszczono je w oprawach mało różniących się od koloru ścian, tak, że właściwie są niewidoczne. Te elektryczne termometry połączono przedwodami z przybudówką, mieszącą się z tyłu kamienicy. W przybudówce znajdują się automatyczne rejestratory, które notują wyniki poszczególnych badań na wykresach. Warto nadmienić, że zanim zostały zaprowadzone automaty, lokatorzy — prości ludzie pracy — sami codziennie robili obliczenia i wykresy. I co się okazało, po „skonfrontowaniu” tych ludzkich obliczeń z automatycznymi? — Ludzie podali dane z

A. L. LLOYD

HISTORIA KULTURY W POKOJU DZIECIINNYM

Niewielu ludzi sądziło dotąd, że warto interesować się wierszami dla dzieci. Nie jeden wciąż jeszcze myśla, że bezsenownym byłoby przypuszczać, iż bajki, którymi stara gadatliwa kobieta zabawia swoje wnuki, rzucają jakieś światło na intelekt człowieka u zarania cywilizacji, na pokrewieństwo różnych ras, lub, że są one gryząca satyra wydarzeń historycznych uświetnionych tradycją, czy wreszcie, że wyświetlały całe mnóstwo literackich zagadnień.

Wierszyki dla dzieci, które opublikowano po raz pierwszy w tanich i prymitywnie drukowanych książkach w XVIII w., wywodzą się nie tylko z średniorzeczywistej romanicy i satyry, lecz także z mitologii, która sięga zamierzchłych czasów i kwitła wśród narodów różnych ras. Stara angielska bajka o Dicku i jego kocie (Dick Whittington and his cat) pochodzi z Indii. Jaś pogromca olbrzymów („Jack the Giant Killer”), ulubiona bajka sprytnych małych chłopczyków, wywodzi się częściowo ze starego islandzkiego opowiadania. Pantofelek, dzięki któremu zakochany królewicz odnajduje Kopciuszkę, jest sandalem greckiego Rhodope, którą poślubił król egipski, Psammetych.

*

Pamiętamy mnóstwo wierszyków z czasów dzieciństwa, lecz rzadko widzimy w nich coś więcej, niż rymy bez znaczenia. Nie zdajemy sobie również sprawy, że pochodzą one często z czasów dawniejszych, niż najstarsze zapiski w kronikach historycznych. Jest jednak niezbyt faktem, że wiele wierszyków, które sprawiały radość angielskim dzieciom w ciągu wieków, różni się tylko nieznacznie co do formy od wierszyków dziecięcych, znanych w północnej Europie, a często jeszcze dalej na wschodzie. W niektórych wypadkach piosenki te pochodzą z Anglii. Często jednak wydaje się, że wiersze angielskie, niemieckie i skandynawskie pochodzą z tego samego źródła i z przed dwóch tysiącami lat. Na przykład stara rymowana zagadka „Humpty-Dumpty”:

Wiele z pośród nich było początkowo legendami, o tle przyrodniczym, które w ciągu lat straciły swoją mroczną tajemniczość. Wyglądały się i zmieniały wygląd tak, jak ostry kamień toczony przez fale morskie wygryzał się, a kamienny grot zamieniał się w okrągły kamik, którym dzieci bawiły się na plaży. Bajka o czerwonym kapturku, zanim ukazała się w przemądrzałej wersji książkowej, kończyła się przybiciem myśliwego, który rozcina brzuch wilka i wydobywa z niego dziewczynkę, w jaskrawym, czerwonym płaszczyku. W rzeczywistości jest to podanie o wschodzie i zachodzie słońca i chodzi o wilka Fenriusa, o którym mitologia nordycka twierdzi, że codziennie pożerał słońce. Podobnie wierszyk o Jacku i Jurku jest mitem o przypływie i odpływie morza.

Jacek i Jurek wyszli na pagórek
By przynieść wodę w dzbanie
Z pagórków Jacek spadł nieboraczek,
A Jurek poleciął za nim.



Trudno na pierwszy rzut oka dopatrzyć się tu głębszego sensu. Jednakże mitologia islandzka zna podanie o Hjuku i Bilu. Są to imiona dwóch dzieci, które wydrapali się na góre w poszukiwaniu źródła, a wracając z wodą zostały porwane przez dżdżę z księżyca. Imię „Hjuki” jest starym nordyckim słowem, które znaczy „przybierać”, a „Bill” znaczy „ubywać”. Te dzieci symbolizują fazy księżyca, a woda, którą niosły, oznacza wpływ księżyca na morze.

*

Niektóre ze znanych wierszyków nie powstały z mitologii, ale z samych początków rozumowania ludzkiego. Wszystkie dzieci angielskie znają dziwną powieść o domu, który wybudował Jaś:

To jest domek, który Jaś zbudował —
To jest żur w domu, który Jaś zbudował —
A to szczur, który zjadł żur
W domu, który Jaś zbudował.

Najciekawszymi postaciami w świecie dziecięcej wyobraźni jest przedziwny zespół: Ksiądz, dziewczka, krowa z zakrzywionym rogiem, które występują w dalszym ciągu tego wiersza:

Wygolony i lisy księżyna
Daje ślub obdartemu człekowi —
Czekać ściiska biedna dziewczyna,
Która doi dwa stare krowy —
Te krowy pobodły psiaka —
Ten psiak tarmosił kociaka —
Kociak z kolei zjadł szczurę,
Co dostał się do domu do żuru.



Tę formę wiersza napotyka się wszędzie. Zakończeniem żydowskiego ceremoniału Paschy jest stary aramejski hymn, z którego być może powstał wierszyk o domku Jasia. Hymn ten zaczyna się od słów: „Koźle, koźle. Mój ojciec kupił koźle za dwa zuzu-

my” i opowiada dalej, jak kot drażnił koźle, pies ugnązł kota itd., a na końcu Jehowa zjawił się — „niechaj będzie błogosławiony i zniszczył anioła śmierci, który zabił rzeźnika, który zarżnął wołu, który wypił wodę, która ugasiła ogień, który spalił kij, który uderzył psa, który zażryzł kota, który drażnił koźle, które mój ojciec kupił za 2 zuzumy. Koźle, koźle”.

*

Aramejska gadka nie jest jedyną w swoim rodzaju; bardzo do niej zblizone znajdują się w Niemczech: („Lambertus Lied” z Monasteru), we Francji, Grecji, Syrii i w północnej Afryce wśród Kabylów oraz w Afryce południowej u Hotentotów. Powtarzanie słów jest wspólną formą dla poezji ludowej i być może, że cykl tych opowiadów powstał z próby wypowiedzenia wrażeń, które pierwotny umysł ludzki odnosił, gdy zaczął się zastanawiać nad przyczynowością.

*

Z chwilą, gdy dziki człowiek pojął, że jedno wydarzenie wynika zawsze z innego i że nie wolno nam zapominać o związku przyczynowym, z natury rzeczy ilustrował te koncepcje zapomocą genealogii wydarzeń piosenka, która opisuje całą serię czynności powiązanych jedną z drugą. Jest to piosenka o łańcuchu przyczyn. Wierszyki takie, jak dom Jasia, są pierwszą niezręczną próbą stworzenia filozofii świata.

Oczywiście nie wszystkie wierszyki dla dzieci pochodzą z takich źródeł. Wielkość ich powstawała po prostu z poczucia humoru. Czasem opiewają jakiś miejscowościowy skandal, lub komiczną sytuację. Czasem jakieś ciekawe zdarzenie. Naprzekład ten wierszyk:

Zaspiewaj mi piosenkę,
Dam ci ziarnek dwieście,
dwadzieścia pięć piasków
zapieczęsz w tym cieście —
Gdy często otworzysz
Zacznij śpiewać słówik —
Wartoby to danie
Pokazać królowi.



W książce wydanej w 1589 r. pod tytułem „Epulario czyli uczta włoska”, znajdujemy przepis na zapiekane ciasto, z którego, gdy się je rozkroi, wylatują żywe ptaszki. Dowcip polegał na tym, by ptaszki włożyć do poprzednio upieczonego ciasta. Niedługo po ukazaniu się tej książki powstał powyższy wierszyk. Dramaturdzy angielscy, Beaumont i Fletcher, cytują go w sztuce napisanej w 1609 r. i do dziś dzieci przepadają za nim.

*

Widzimy, że wiele popularnych wierszyków, będących dotychczas w obiegu, pochodzi z czasów o wiele wcześniejszych, niż wydanie sztuki drukarskiej. Przechodziły one z pokolenia na pokolenie, powtarzane ustnie i z biegiem czasu rozgałęzyły się w rozmaitą wersję. Niektóre z nich powstały jako wierszyki polity-

czne i są dowodem, że naród dobrze pamięta wydarzenia historyczne. Taki naprzekład wierszyk:

Jan Korzelat ich wystrzelat
Jan Zabój zrobił nabój
Ale Jan Korzelat wszystkich ich
wystrzelat

Jan Wywrotek zrobił młotek
Jan Zabój zrobił nabój
Ale Jan Korzelat wszystkich ich
wystrzelat

Mamy tam jeszcze, że Jan Przecz zrobił miecz, Jan Groch zrobił proch, Jan Bij zrobił kij itd., wszystkie te nazwiska są po prostu wymyślone dla rymu (także w oryginale angielskim) z wyjątkiem jednego, a mianowicie Jana Korzelala. W oryginale angielskim nazywa się on: John Ball. John Ball był tym księdem, którego kazanie roznieciły płomienie powstania chłopskiego w 1381 r. Wierszyk ten przypomina ludziom fakt, zapomniany przez historyków, dopóki nie odkryli go na nowo badacze historii średniowiecznej, że propaganda Johna Balla wznieciła rewolę chłopską i że pomimo, iż Wat Tyler stał na czele ruchu, John Ball był jego sercem i duszą. Istotnie John Ball był tym, który „wszystkich wystrzelał”.

*

Z pośród kołysanek, którymi angielskie matki kołyszą do snu i uspakają swoje dzieci, najulubieńszą jest następująca:



Huśta się dziecko na wierzchołku drzewa,
Gałąz jest kołyską, kiedy wiatr zaśpiewa
Kiedy gałąz pęknie, spadnie z kołyską
I małe dziecko i piosenka i wszystko.

Wydaje się, że wierszyk ten nie ma wiele sensu i nie może działać bardzo uspakajaco na dziecko, o ileby ono sens zrozumiało. Lecz gdy uświadomimy sobie, że powstał w pamiętnym roku 1688, nabiera całkiem innego znaczenia.

Zasiadł wówczas na tronie reakcyjny król Jakub II, a naród był bliski rewolty. Aby spowodować pewne odpreżenie, ogłoszono, że narodził się wreszcie w St. James Palace, następcą tronu. Naród był jednak sceptycznie nastawiony. Wiedziano, że król Jakub jest nerwowy i chorowity. Następca tronu urodził się „na szczytach”, lecz wiatr opinią publicznej dał jeszcze silniej i kołyska się chwiały. W sześć miesięcy po urodzeniu następcy tronu, w grudniu, gałąz ułamała się — Król Jakub uciekł z kraju. Kołyska i cały dom królewski upadły.

Pogodna ta, nie mająca wiele sensu, kołysanka, która uspakaja płaczące angielskie dzieci od dwustu pięćdziesięciu lat, jest właściwie dowcipnym i treściwym komentarzem do jednego z ważnych przewrotów w historii Anglii. Upamiętnia wielkie wydarzenie, znane w podręcznikach historii pod nazwą Wspaniałej Rewolucji.

*

Już wkrótce rozpoczęmy druk słynnej powieści szpiegowskiej z czasów ostatniej wojny, pióra Grahama Greene'a, p. t. „MINISTERSTWO STRACHU”.

Narodiny WYDAWNICZE

Uwaga Czytelnicy!

Przypominamy raz jeszcze, że — jak to już zaznaczyliśmy w nr. 26 (35) Glosu Anglii (str. 9) — książki angielskie można sprawdzać za pośrednictwem następujących księgarń: Gebethner i Wolf, Trzaska i Evert oraz przedstawicielsztwa Czytelnika. O ile nam wiadomo, zamówione tą drogą książki można otrzymać w ciągu miesiąca. Redakcja Glosu Anglii absolutnie nie jest w stanie podejmować się sprawdzania książek dla swych poszczególnych czytelników i prosimy bardzo o niepisanie do nas listów w tej sprawie i nie wysyłanie znaczków na odpowiedź, ponieważ brak czasu nie pozwala nam na podawanie każdemu z osobna zamieszczonych niejednokrotnie w Glosie Anglii szczegółów.

Medycyna

Psychiczne zaburzenia u personelu RAFu. (Psychological Disorders in Flying Personnel of the R. A. F.) — Ilustr. Wyd. Roy, H. M. S. O. Wyniki badań przeprowadzonych w latach 1939—1945. Wydane za zgodą ministerstwa lotnictwa.

Trąbki akustyczne i słuchomierze (audiometry). Wyd. Roy, H. M. S. O. (Hearing aids and Audiometers). — Sprawozdanie komitetu mianowanego dla określenia cech trąbki akustycznej, która by służyła większości głuchych i miała dostępną cenę.

Powieść

Boże, jakie się bałem. („Lord, I was afraid”) Nigel Balchin, wyd. Collins. Książka ta jest eksperymentem literackim, opartym o analizę międzysłowiennej pokolenia. Autor jej, Nigel Balchin, ur. w 1908 r. ma podwójny zawód — pracuje nad badaniami naukowymi dla przemysłu, a w życiu prywatnym jest zdolnym i dosyć płodnym autorem powieści i utworów scenicznych. Twierdzi, że może pisać, tylko jeśli jest równocześnie zajęty pracą w przemyśle, która innemu wydawałaby się dostatecznie absorbująca. Powieści jego: „Lightbody on Liberty”, „Darkness falls from the air”, „Small backroom” i „Mine own executioner” mają bardzo różnorodne tematy, a wspólnie zalety dosadnego przedstawiania faktów, trzymania czytelnika w napięciu i szczerości uczucia. Balchin napisał także „Income and Outcome” — studium osobistego budżetu, a pod pseudonimem North Rhode dwa satyryczne podręczniki nowoczesnych metod przemysłowych pt. „How to run a bassoon factory” (Jak założyć fabrykę basetli) i „Business for pleasure” — (Business dla przyjemności). Kilka jego utworów scenicznych wystawiono w teatrach londyńskich.

Książki dla dzieci

Rom Bom Bom i inne historie („Rom Bom Bom and other stories”) — Antonia Ridge. Wyd. Faber & Faber. 6 szylingów, 110 stron, 30 białoczarwonych ilustracji — A. E. Kennedyego.

Opowiadania Antonii Ridge są żywe, oryginalne i wiele z nich było nadawanych przez radio w audycjach dla dzieci. Bohaterami opowiadanych w tym zbiorku są przeważnie zwierzęta: Mały Kid Monday (Smarczak Poniedziałek) — bananek, który ukrył się w bębnie i Egbert, gderający wielbłąd. Lecz są tam również i przemianowane postacie ludzkie — Bob Brims, marynarz i Mr. Thwaites, który „wspiniał się, przystrygał i scinał drzewa”, lecz („zawsze był po stronie drzew”). Jest to książka dla chłopców i dziewczynek od lat czterech do osmiu.

Wakacje w lesie („Forest Holiday”). — David Severin. Wyd. Lane, 7 szyl., 6 pensów. — 220 stron. Biało-czarne ilustracje wykonane przez J. Kiddell-Monroe.

Jest to dalszy tom z serii popularnych historii w rodzaju „Robinsona Kruzo”. Cztero dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki wyruszyły z różnych okolic, by spotkać się ze swym przyjacielem Crusoe pod „królewskim dębem”, największym drzewem w lesie. Wskutek spożyczenia się na autobus i przyjęcia propozycji pojechania za darmo prywatnym autem, dwie dzieci zostały wciążnięty w ciekawe przygody. Pozostała dwójka spotkała się z cyganami, z czego też wywiązały się liczne awantury. Opowiadanie posiada żywą akcję i momenty napięcia, kilka nowych i niezwykłych postaci i przejmujący dreszczem punkt szczytowy. Jest to książka dla chłopców i dziewczynek od lat 9 do 12.

BIULETYNY W JĘZYKU POLSKIM nadaje radio brytyjskie codziennie o godzinie:

6.30—6.45 na fali 1796; 456 49,59; 41,21 m.
14.30—14.45 na fali 1796; 456 31,17, 41,21 m.
19.30—20.00 na fali 456, 49,59, 31,17 m.
22.30—23.00 na fali: 456, 49,59, 40,93, 31,17 m.

List z LONDYNU

KSIĘŻNICZKA

ŚLUBUJE POSŁUSZEŃSTWO

K SIĘŻNICZKĄ Elżbietą już wkrótce będzie ślubowała por. Mountbattenowi posłuszeństwo. Słowa „posłuszeństwo” nie używa się w przeszłości małżeńskiej, od czasu gdy zostało ono pominięte w ostatnim wydaniu „Modlitewnika” w 1928 r. Parlament jednak nie uznał tej zmiany, która z jego punktu widzenia jest nieprawna, chociaż spotkała się z uznaniem biskupów.

GUBERNATOR SZUKA ADIUTANTA

PEWNEGO wieczoru spotkałem sir Philipa Mitchell, który jest obecnie gubernatorem kolonii Kenya. Powiedział mi, że wraca z urlopu za 8 tygodni, ale że szuka adiutanta, by go wziąć ze sobą. Postanowił zachować to stanowisko dla byłego oficera, który stracił nogę w wojnie. Bytem bardzo zdziwiony dowiedziaławczy się, że do określonej daty nie znalazł kandydata. Mimo roczarowania był jednak zadowolony stwierdzając, że w dzisiejszych czasach nie ma tak wielu inwalidów bez pracy!

BIG BEN I MAE WEST

Z NANA amerykańska gwiazda filmowa, Mae West, przybyła ostatnio do Anglii, by wystąpić w nowym filmie „Diamond Lil”. Podobno w czasie wywiadu prasowego w Londynie artystka zapytała jednego z dziennikarzy: „Co to za jegomość, ten Big Ben? Chciałabym bardziej, aby mnie kiedyś odwiedził”.

Przypominamy naszym czytelnikom, że Big Ben, to po prostu słynny zegar, umieszczony na wieży budynku Parlamentu. Bicie jego rozlega się często na falach radiowych. Pomieważ bardzo wysoka wieża, na której się znajduje Big Ben, nie posiada windy, zanosi się więc na to, że raczej Mae West będzie zmuszona złożyć wizytę zegarowi. „Nie przyszła góra do Ma-homeha”.

HANDEL SZKIELETAMI

W ANGLII ciągle słyszy się rozmowy na temat eksportu. W czasie jednej z ostatnich audycji radiowych B. B. C. słuchacze dowiedzieli się o jeszcze jednym, dość dziwnym artykule eksportowym tego kraju.

Oto okazuje się, że jeden z konserwatywnych członków Parlamentu zadał ministrowi handlu bardzo oryginalne pytanie. Chciał się dowiedzieć, ile ludzkich szkieletów wyeksporciowano w ciągu ostatniego roku do pld. Afryki.

Przedstawiciel min. handlu z niezruszonym spokojem, jakby pytania takie były na porządku dziennym, wstał i odpowiedział: „Nie posiadamy oddzielnego wykazu cyfr dotyczących eksportu szkieletów ludzkich”. A więc szkielety są na eksport!

Tak, ale od dłuższego czasu panuje niesłychany zastój w tym handlu, a szkoły malarstwa i szpitale wciąż dopominają się o szkielety w dobrym stanie. Prelegent radiowy twierdził, że zupełnie się nie zdziwi, gdy pewnego pięknego poranka zobaczy afisz z napisem: „Umieraj prędko i dopomóż tym naszemu eksportowi”!

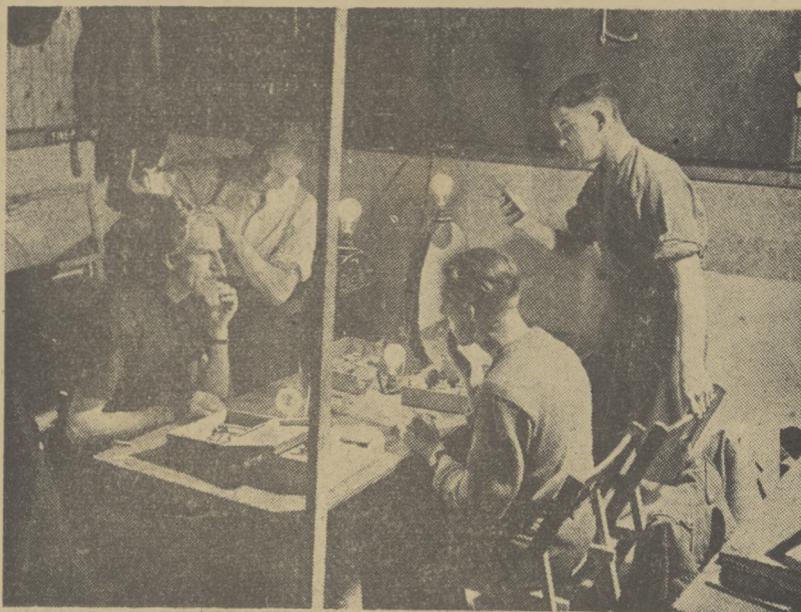
Był czas, kiedy Anglia przodowała w tym handlu, lecz obecnie rzadko można spotkać jakiś „brytyjski” szkielet, wisiący w sali wykładowej, lub schowany w szafie. Sytuacja jest tak ciężka, że handlarze tym artykułem zastanawiają się poważnie, czy nie można wyprodukować jakiegoś plastycznego modelu szkieletu z mosiężnymi sprzęzynami. Cała trudność polega na tym, że nie wiadomo, czy uda się odtworzyć skomplikowaną i trudną mechanizm kręgosłupa.

CZYŻBY?

P EWNIA młoda dama, silnie zakataziona, idąc na proszony obiad, wzięła ze sobą dwie chusteczki do nosa. Jedną z nich wknęła za dekoltem. Przy obiedzie, chcąc wyjąć czystą chusteczkę zaczęła jej szukać za dekoltem, na prawo i lewo. Tak byli zajęta ta czynnością, iż dopiero po pewnej chwili zorientowała się, że rozmowa przy stole ustala i wszyscy goście w oślepieniu śledzą jej ruchy. Bardzo spieszona bąknęła na swoje u解释: „Ach, jestem zupełnie pewna, że gdy przysiągam tu, miałam jeszcze dwie”!

Jonathan Iraford

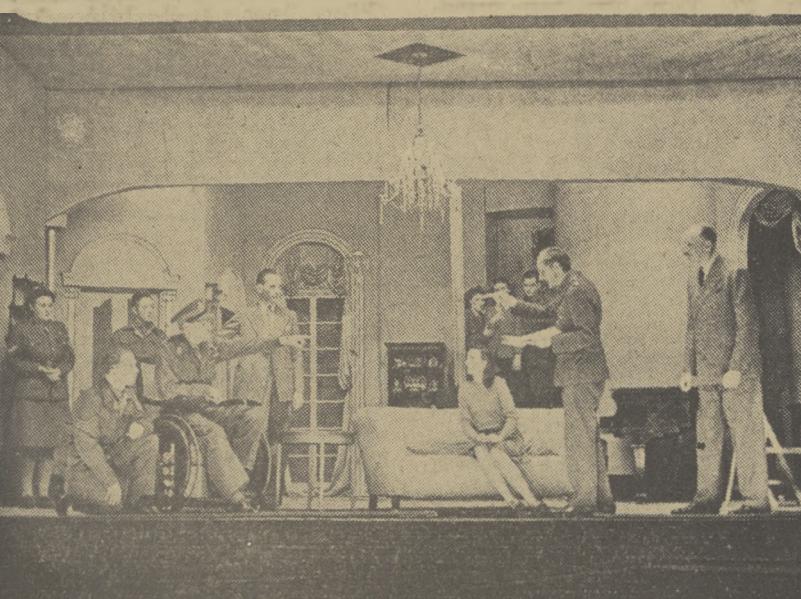
Zdumiewający generał Cary



Generał charakteryzuje się do swej roli z pomocą podkomendnych.



Kobiety ze służby pomocniczej zamiatają się wieczorem w aktorki.



Próba w pełnym toku; reżyser udziela wskazówek generalowi, który wystąpi w roli zblazowanego literata-kaleki.



Scena końcowa sztuki „Człowiek, który przyszedł na obiad”: Whiteside gniwie zapowiada zakłopotanemu gospodarzowi, że zaskarzy go o 250 tys. dolarów odszkodowania.

Za niecałe dziesięć minut kurtyna w teatrze polowym Catterick pojedzie w górę. W małej, przepelnionej garderobie sześciu aktorów charakteryzuje się pośpiesznie. Wysoki pan w granatowej koszuli nakłada perukę i pyta swego sąsiada: „Czy prosto siedzi, Vic?”

Rumiani chłopcy, statyści w późniejszej scenie, czytają piśmum humorystyczne, zabawiają się i wszystkim wlażą w drogę. Lecz generała nie ma ani śladu. „Coś dłużej się nie zjawia, prawda?” — pyta przybyły gość.

Wysoki pan w peruce spogląda ze swego lustra. „Generał jest zawsze punktualny” — stwierdza. „Właśnie jestem gotów”.

Generał-major R. T. O. Cary dba o punktualność na scenie. Punkt o ósmej kurtyna w małym polowym teatrze idzie w górę i wcieliły, podniesiony głos daje się słyszeć zza sceny. Wkrótce potem wjeżdża na nią postać z bródką w fotelu na kółkach. Generał, kierujący wielkim obozem wojskowym Catterick w Yorkshire, rozpoczyna swoją krzykliwą rolę Sheridan Whiteside w słynnej sztuce „Człowiek, który przyszedł na obiad”. Nawet we współczesnej, demokratycznej armii brytyjskiej widok generała występującego na scenie razem z żołnierzami jest jedyny w swoim rodzaju. Lecz generał nie widzi w tym nic nadzwyczajnego. On i jego towarzysze, wśród których znajdują się kobiety z pomocniczej służby wojskowej, oficerowie i cywile, są bardziej zainteresowani publicznością. „Wczoraj było tylko jedno krzesło puste, mój chłopce, a przedwczoraj mieliśmy komplet” — powiada uszczęśliwiony generał Cary.

Żołnierze obozu Catterick, ich żony i narzeczone po prostu uwielbiają generała na scenie. Chociaż nie występuwał on ani w filmie, ani w żadnym z wielkich teatrów West Endu, jednak doskonale odtwarza rolę rozpięszczonego literata, który zlamał nogę na schodach małomieczkańskiej pary Amerykanów, u których był na obiedzie. Auditorium zanosi się od śmiechu, gdy z jego ust zaczynają sypać się obelgi. Śmieje się jeszcze bardziej, gdy jemu zaczynają wymyślać.

Generał-major Cary kocha teatr tak samo, jak żołnierze, którzy z nim występują i siedzą na widowni; a może nawet jeszcze bardziej. Założył teatr Catterick i klub, nazywając to eksperimentem w dziedzinie „demokracji kierowanej” i poświęca mu cały swój wolny czas.

„W teatrze i klubie nikogo nie

obchodzi „szarża” — mówi Cary. „Co wieczór po skończonej robocie idę tam i bawię się ze wszystkimi. Chłopcy nie wykorzystują tej sytuacji. W ciągu dnia nigdy nie klepią mnie po ramieniu, dlatego, że wieczór gram, śmieję się i dowcipuję razem z nimi. Tak właśnie być powinno”.

Generał-major Cary jest synem zawodowego żołnierza. Rozpoczął karierę wojskową jako trebacz w pułku dowodzonym przez swego ojca, lecz zawsze okazywał zainteresowanie teatrem. Jako porucznik dawał przedstawienia w Crowborough, wkrótce po zawieszeniu broni. W 1939 r. przed pójściem na front zajmował się działem rozrywkowym w obozie Catterick i powrócił tam jako generał tuż przed zakończeniem wojny.

Catterick jest położonym na skraju wrzosowisk Yorkshire, odosobnionym obozem. Żołnierze stacjonowani tam muszą się sami rozweselać. Cary zaraził wszystkich swoim entuzjazmem dla teatru. Niektórzy uchylili się nawet od demobilizacji, żeby móc tam pracować. Generał pożyczył teatrowi pieniędzy na zakup miękkich foteli. Jego żona nakładała kombinezon i pomagała dekorować teatr. Córka przyłączyła się do towarzystwa, przebywając tam na wakacjach szkolnych. Meble do dekoracji sceny pochodzą z domu generała.

Cary napisał i wystawił rewii pt. „Cóż jeszcze?”, która zawierała melodramat, zatytułowany „Zemsta szlachcica” i skecz o Napoleonie. Później generał wkrócił na scenę. W sztuce „Człowiek, który przyszedł na obiad” występują: pułkownik, sierżant, sygnaliści i kobiety z pomocniczej służby wojskowej. Wielu z nich nigdy przedtem nie występowało na scenie.

Generał brał udział we wszystkich próbach, tak jak inni. Gdy dekoracja wymagała malowania lub przesuwania, chętnie pomagał, chociaż jego sztuka malarstwa (jak twierdzi kierownik sceny) odznacza się raczej energią, niż talentem.

Po przedstawieniu Cary zawsze wstępuje do klubu położonego naprzeciw teatru na wieczorną szklankę piwa. Całe wojsko generała ma zresztą ten zwyczaj. Gawędzi się w klubie w atmosferze żartobliwej i beztroskiej.

Generał ma wysokie mniemanie o bywalcach teatru — i o żołnierzach, którymi dowodzi w Catterick. A oni skoczyliby w ognień za generała, „który przyszedł na obiad”, a po sztuce został, by pogawędzić nad szklanką piwa.



Po zejściu ze sceny, Sheridan Whiteside jest znowu służbistym generałem R. T. O. Cary.

English without Tears

Lekcja dziewięćdziesiąta trzecia

(Transmisja 17 listopada)

WHILE

"WHILE"

chwilą, w czasie, podczas

GŁOS I: Angielski przez radio.

GŁOS II: Dzisiaj, słuchacze, będziemy mówić o słowie "while".

GŁOS I: Posłuchajcie tych zdań:

GŁOS II: Podczas, gdy mówimy, słuchacie.

GŁOS I: Moja żona została w domu, podczas gdy wyszedłem.

GŁOS II: Podczas gdy jesteś w mieście, proszę wrzuci ten list.

GŁOS I: W tych trzech przykładach użyliśmy słowa „while” jako spójnika, łączącego dwa człony, czyli części zdania. Miałem wtedy znaczenie „w czasie, gdy”. Posłuchajcie znowu:

GŁOS II: Podczas gdy rozmawiamy, słuchacie.

GŁOS I: Moja żona została w domu, podczas gdy wyszedłem.

GŁOS II: Podczas gdy jesteś w mieście, proszę wrzuci ten list.

GŁOS I: Czasem gdy słowo „while” jest użyte w tym znaczeniu, opuszczamy podmiot i czasownik w zdaniu побocznym i mówimy na przykład:

GŁOS II: Idąc (w czasie drogi) do pracy wczoraj, spotkałem bardzo dawnego przyjaciela. To jest, podczas gdy szedłem do pracy wczoraj, spotkałem bardzo dawnego przyjaciela.

GŁOS I: Czekając na stacji, zjedli razem śniadanie. To jest w czasie, gdy czekali na stacji, zjedli razem śniadanie.

GŁOS II: Browning napisał wiele swoich wierszy (podczas), gdy mieszkał we Włoszech. To jest, napisał wiele swoich wierszy, w czasie gdy przebywał we Włoszech.

GŁOS I: W pewnych wypadkach użyjemy „while” jako spójnika, w znaczeniu „z drugiej strony”. Lub „lecz w porównaniu z tym —”. Oto jeden przykład.

GŁOS II: Niektórzy ludzie są zawsze szczęśliwi (mają zawsze szczęście), podczas gdy inni nie są.

GŁOS I: Oprócz użycia go jako spójnika, „while” może być również użyty jako rzeczownik, oznaczający okres czasu.

GŁOS II: Tak, w ten sposób: poszedłem do teatru chwilę temu — to znaczy przed pewnym czasem.

GŁOS I: Nie byłem na (żadnej) sztuce od pewnego czasu.

GŁOS II: Możemy także mówić o długiej chwili lub krótkiej, wielkiej chwili lub malej chwili.

GŁOS I: Lub o „dobrzej” chwili. Mówiliśmy teraz o słowie „while” przez dobrą chwilę.

GŁOS II: Tak, mam nadzieję, że słuchacze uważają, że warto im było słuchać.

GŁOS I: Zwrócić uwagę na to zdanie, słuchacze. Jeśli mówimy, że warto jakąś rzeczą zrobić, lub że warto wam ją zrobić (warta waznej chwili, by ją zrobić), chcemy powiedzieć, że warto jest czasu i zachodu, który może poświecić bieżecie musieli, robiąc ją. Zauważcie także, że może po nim (po słowie „while”) nastąpiwać albo bezokolicznik albo rzeczownik odmowny, to jest forma czasownika z końcówką „-ing”. Czy możemy mieć inny przykład?

GŁOS II: Nie warto siedzieć do autobusu, możemy tam pójść piechotą.

GŁOS I: Brownowie nie wyjeżdżają na weekend, nie uważają, że warto.

2nd V.: It isn't worth while taking a bus—we can walk there.

1st V.: The Browns aren't going away for the weekend—they don't think it's worth while.

1st V.: Notice that phrase, listeners. If we say a thing is worth doing or worth your while to do, we mean it is worth the time and trouble you may have to spend in doing it. Notice, too, that it can be followed either by an infinitive, or by the gerund, the -ing form of the verb. Can we have another example, please?

2nd V.: Yes, like this: I went to the theatre a while ago—a time ago, that is.

1st V.: I haven't been to a play for some while.

2nd V.: We can also speak of a long while or a short while, a great while or a little while.

1st V.: Or quite a while. We've been talking about this word „while” for quite a while now.

2nd V.: Yes, I hope listeners think it has been worth their while to listen.

1st V.: Notice that phrase, listeners. If we say a thing is worth doing or worth your while to do, we mean it is worth the time and trouble you may have to spend in doing it. Notice, too, that it can be followed either by an infinitive, or by the gerund, the -ing form of the verb. Can we have another example, please?

2nd V.: It isn't worth while taking a bus—we can walk there.

1st V.: The Browns aren't going away for the weekend—they don't think it's worth while.

Wielką korzyść przyniesie uczącym się po angielsku słuchanie lekcji, nadawanych przez radio brytyjskie codziennie w godzinach:

06.45—07.00 na fal: 1796, 456 m, 49.59, 41.21 m.

07.00—07.15 na fal: 267 m, 41.32, 31.50, 25.30 m.

08.45—09.00 na fal: 1796, 267, 456 m, 49.59, 41.21, 31.17 m.

11.45—12.00 na fal: 1796 m, 31.50, 25.30 m.

12.30—12.45 na fal: 31.50, 30.96, 25.30, 19.61, 19.42 m.

13.00—13.15 na fal: 1796, 456, 267, 41.21, 31.17, 25.15 m.

14.00—14.15 na fal: 41.49, 31.01, 19.91 m.

16.45—17.00 na fal: 267, 41.32, 31.50, 25.30, 19.42.

19.15—19.30 na fal: 1796, 456, 40.98, 31.17, 25.42.

22.45—23.00 na fal: 1796 m.

23.45—24.00 na fal: 1796, 456, 49.59, 40.98.

Streszczenie wiedomości dyktowane powoli dla uczących się angielskiego:

11.30—11.45 na fal: 1796 m.

12.15—12.30 na fal: 31.50, 30.96, 25.30, 19.61, 19.42 m.

13.15—13.30 na fal: 1796, 456, 267, 41.21, 31.17, 25.15 m.

19.00—19.15 na fal: 456, 40.98, 31.17, 25.42 m.

22.30—22.45 na fal: 1796 m.

2nd V.: That is, they don't think it's worth while going away, or to go away.

1st V.: One more example, please.

2nd V.: If you want a man to do that for you in his spare time, you must make it worth his while.

1st V.: That is, I must pay him, or give him something for his trouble.

2nd V.: If you want a man to do that for you in his spare time, you must make it worth his while.

1st V.: Well, listeners, as we said before, we hope you have found it worth while listening.

2nd V.: Yes, we hope you haven't been listening just to while away the time.

1st V.: That was an example of the only common use of „while” as a verb. To while away the time means to make the time pass in some way or another.

2nd V.: We hope you haven't been listening just to while away the time.

GŁOS II: To znaczy, myślą, że nie warto wyjeżdżać.

GŁOS I: Proszę o jeszcze jeden przykład.

GŁOS II: Jeśli chcecie, by jakiś człowiek zrobił to dla was w swoim wolnym czasie, musicie tak zrobić, by mu się to opłaciło (by warte było jego czasu).

GŁOS I: To znaczy, że muszę mu płacić, albo mu dać coś za kłopot.

GŁOS II: Jeśli chcecie, by jakiś człowiek zrobił to dla was w swoim wolnym czasie, musicie tak zrobić, by mu się to opłaciło —

GŁOS I: Więc, słuchacze, jak powiedzieliśmy poprzednio, mamy nadzieję, że uznałście, iż warto było posłuchać.

GŁOS II: Tak, mamy nadzieję, że nie słuchaliście tylko na to, by spędzić jakaś czas.

GŁOS I: To był przykład jedynego zwykłego sposobu użycia „while”. jako czasownika. „While away the time” znaczy spędzić czas w taki lub inny sposób.

GŁOS II: Mamy nadzieję, że nie słuchaliście tylko po to, by spędzić czas.

Lekcja dziewięćdziesiąta czwarta

(Transmisja 18 listopada)

GRANDFATHER REMEMBERS HIS WEDDING-DAY

DZIADUNIO WSPOMINA DZIEN SWEGO SLUBU

GRANDFATHER: Ann! Ann! Where are you? And where's the newspaper? I can't see it anywhere. Hasn't it come yet?

ANN: Yes, Grandfather, the newspaper came a little while ago. I have it here. I'm reading it while I'm making the toast.

G'FATHER: If you do that you'll forget to look at the toast and then it will burn. Give the newspaper to me, Ann. It's not worth while burning the toast when you can read the paper later on.

ANN: All right, Grandfather, here's the newspaper. I was reading about Princess Elizabeth's wedding. Now you can read all about it while I finish getting the breakfast.

G'FATHER: And so the Princess is going to be married on Thursday. It makes me think of my wedding-day. You know, Ann, your grandmother was a beautiful bride.

ANN: And I'm sure you were a handsome bridegroom, Grandfather! Princess Elizabeth is going to have eight bridesmaids. How many did Granny have?

G'FATHER: Just two, my dear. One carried her flowers while the other carried her gloves.

ANN: And the best man carried the ring, of course. Who was your best man, Grandfather?

G'FATHER: He was an old school friend of mine. He fell in love with one of the bridesmaids at our wedding and married her a short while afterwards.

ANN: Tell me more about your wedding, G'fathers.

G'FATHER: Well, my dear, we were married in an old church in the country. Your grandmother drove to the church in a carriage drawn by a pair of horses. And her father went with her to give her away.

ANN: Princess Elizabeth will drive to Westminster Abbey with the King in one of the State carriages, while the Queen will follow in another carriage.

G'FATHER: This newspaper says that the King and Queen have invited two thousand guests to the wedding. I don't think we had more than fifty guests at our wedding.

ANN: And after the marriage ceremony you signed the register?

G'FATHER: Yes, that was the last time your grandmother signed her maiden name. We signed the register and then my wife and I walked out of the church while the organist played Mendelssohn's „Wedding March”.

ANN: And then you drove back to Granny's home in the carriage and pair.

G'FATHER: Yes, and I remember the floor of our carriage was covered with rice that had been thrown at us for luck.

ANN: Oh Grandfather, what a waste of good food! And did you have a nice wedding breakfast?

G'FATHER: Yes, and a very good wedding-cake. And our healths were drunk in champagne.

ANN: Oh grandfather, you were lucky! And then you went on your honeymoon.

G'FATHER: Yes, and lived happily ever after, just as we hope our Princess and her husband will do.

DZIADUNIO: Ann! Ann! Gdzie jesteś? I gdzie jest gazeta? Nie widzę jej nigdzie. Czy jeszcze nie przyszła?

ANN: Tak, Dziaduniu, gazeta przyszła chwilę temu. Mam ją tutaj. Czytam ją, podczas gdy robię grzankę.

DZIADUNIO: Jeśli tak robisz, zapomnisz patrzeć na grzankę i ona się wtedy spłi. Daj gazetę mnie, Anno. Nie warto spalić grzanki, jeśli możesz przeczytać gazetę później.

ANN: Dobrze, Dziaduniu, tu jest gazeta. Czytałam o ślubie księżniczki Elżbiety. Możesz teraz wszystko o tym przeczytać, podczas gdy skończę przygotowywać śniadanie.

DZIADUNIO: Więc ślub księżniczki odbędzie się we czwartek. To mi przypomina o dniu mego ślubu. Wiesz Anno, twoja babka była piękna panna młoda.

ANN: Jestem pewna, że ty byłeś także pięknym panem młodym, Dziaduniu! Księżniczka, Elżbieta będzie miała 8 drużek. Ile miała ich babunia?

DZIADUNIO: Akurat dwie, moja droga. Jedna niosła jej kwiaty, a druga niosła jej rękawiczki.

ANN: A drużba niósł pierścionek, oczywiście —

DZIADUNIO: To był stary mój przyjaciel szkolny. Zakończył się w jednej dziedzinie na naszym ślubie i zmarł z wątkiem potem.

ANN: Opowiedz mi więcej o swoim ślubie, Dziaduniu.

DZIADUNIO: Więc moja droga, ślub nasz odbył się w starym kościele na wsi — Twoja babka jechała do kościoła w powozie, ciągniętym przez parę koni. Ojciec jej jechał z nią i prowadził ją do ślubu (Ojciec jej jechał z nią, by ją oddać).

ANN: Księżniczka Elżbieta pojedzie do Westminster Abbey z królem w jednym z dworskich powozów, podczas gdy królowa pojedzie za nimi (nastapi) w innym powozie.

DZIADUNIO: Ta gazeta mówi, że król i królowa zaprosili dwa tysiące gości na ślub. Nie zdaje mi się, że mamy więcej, niż 50 gości na naszym ślubie.

ANN: A po obrzędzie ślubnym podpisaliście akt ślubny?

DZIADUNIO: Tak, wtedy po raz ostatni babka twoja podpisała się swoim panieńskim nazwiskiem. Podpisaliśmy akt ślubny i potem moja żona i ja wyszliśmy z kościoła, podczas gdy organista grał „Marsz ślubny” Mendelssohna.

ANN: A potem wracaliście do domu babuni powozem i parą koni.

DZIADUNIO: Tak, i przypominam sobie, że podłoga w powozie była ryżem, którym obrzucano nas na szczęście.

ANN: Oh, Dziaduniu, jakie marnotrawstwo dobrego pożywienia! Czy miałeś miłe śniadanie ślubne?

DZIADUNIO: Tak, i bardzo dobry tort ślubny. A nasze zdrowie pito szampanem.

ANN: Och, Dziaduniu, miałeś szczęście! Pojechaliście potem w podróż poślubną.

DZIADUNIO: Tak, i żyliśmy zawsze odległością, tak właśnie jak się spodziewamy, że będzie żyła nasza księż



Sport

Prowizoryczna lista olimpijczyków bryt.

Wielka Brytania zastawiła już prowizoryczną reprezentację lekkoatletyczną na Igrzyska Olimpijskie. Lista obejmuje blisko 200 nazwisk. Celem tak wcześniejszej selekcji jest umożliwienie przez lata obrońcom brytyjskich przejścia specjalnego, zimowego treningu, pod okiem fachowych instruktorów. Dotychczas w składzie drużynym brak słynnych zachodnio-indyjskich lekkoatletów — E. McDonalda Baileya, Artura Winta, Horberta McKenley i J. Laringa, ponieważ zarówno Trinidad, jak i Jamajka mają pierwszeństwo w dyponowaniu osobami tych potencjalnych mistrzów olimpijskich. W razie, gdyby Indie Zachodnie zrezygnowały z własnych reprezentacji olimpijskich, ze względu na związane z tym koszty, wówczas zawodnicy ci włączeni zostaną niewątpliwie do drużyny brytyjskiej, oczywiście, jeśli dopisywać im będzie nadal dotychczasowa, wspaniała forma.

Będąc obywatelami brytyjskimi, zawodnicy zachodnio-indyjscy mają prawo występować w barwach angielskich.

Ostateczne ustalenie składu drużyny olimpijskiej nastąpi po rozegraniu przyszłych mistrzostw W. Brytanii.

Przyjrzymy się liście kandydatów. Zespół ten jest bardzo obiecujący. Nie można wprawdzie oczekiwac po nim, by wydarci Amerykanom tradycyjną palmę pierwszeństwa na boiskach i bieżniach, niemniej jest dość silny na to, by przeciwstawić się z powodzeniem większości pozostałych, stojących do walki narodów. Muszę przyznać, że jest słabszy, niż przyczyniałem dwunastoście miesięcy temu. W czasie wojny, lekkoatletyka brytyjska znajdowała się w stanie zaśnięcia, a koniec sześciolatnych działań wojennych stał się dopiero momentem rozpoczęcia odbudowy tej gałęzi sportu.

Jeśli McDonald Bailey wystąpi na Olimpiadzie w barwach Trynidadu, wówczas główną nadzieję brytyjskiego sprintu będzie J. C. M. Wilkinson, dziewiętnastoletni student Oksfordu, zwycięzca biegów na 100 i 200 m. na mistrzostwach akademickich w Paryżu, które odbyły się w sierpniu br. Czasy, uzyskane wówczas przez Wilkinsoona, wynoszą: 10,5 sek. na 100 m i 22,2 sek. na 200 m. Na prowizorycznej liście widnieje również nazwisko Johna Archera, zwycięzcy w biegu na 100 m na zeszłorocznego mistrzostwach Europy w Oslo. Archer osiągnął wówczas wynik 10,6 sek.; wątpliwe jest jednak, czy zdola on powrócić do swej najlepszej formy, ponieważ w tej chwili nie powrócił jeszcze w zupełności do zdrowia po złamaniu nogi, której uległ w czasie meczu rugby. Inní sprinterzy na liście, to J. A. Gregory (Irlandia), Ken A. Jones (Walia) — obaj znajomi gracze w rugby — W. D. O'Kee (Irlandia) i Alan Watt (Szkocja). Każdy z nich zdolny jest uzyskać czas 10,7 sek. na 100 m

przy dobrej formie, toteż jeśli potrafią podciągnąć się jeszcze do czasu Olimpiady, W. Brytania rozporządzać będzie naprawdę dobrą szafetą sprinterską. W przeciwieństwie do dziedziny sprintu, W. Brytania nie posiada wyjątkowego biegacza na 400 m, chyba że McKenley wejdzie do drużyny. Ostatnio uważam McKenleya za przyszłego mistrza olimpijskiego na tym dystansie, ponieważ w lipcu ustalił rekord świata na 440 yardów wspaniałym czasem 46,3 sek. Z De Rekiem Pugh, Billym Robertsem (który był czwarty w finale olimpiady w 1936 r.), Tomem Collierem i L. C. Lewisem, mamy zespół biegaczy, zdolnych osiągnąć czas 48 sek., który powinien wystarczyć na wprawdzenie nas do finału szafety na 400 m.

Nasi najlepsi biegacze na 800 m, to Tom White, Tarraway oraz J. A. J. Pairet. Jeśli któremuś z tych trzech przypadnie w udziale zaszczyt powtórzenia wspomnianego sukcesu Tommyego Hamptona z Olimpiady w Los Angeles w 1932 r., sądzę, że będzie to młody student uniwersytetu w Southampton Tarraway, który tak ręcznie episał się w Szwecji parę tygodni temu. Natomiast niewielkie nadzieje dla nas nadzieje w biegu na 1500 m. W tej konkurencji faworytem jest groźny Szwed Lenhard Strand, który już teraz przygotowuje się do pobicia rekordu świata na tym dystansie. Douglas Wilson, który przez większość sezonu nie stała na bieżni, wskutek uszkodzenia ścięgna Achileusza, mógłby osiągnąć tutaj czas ok. 3 minut i 51 sek. Jeśli chodzi o 5,000 m. największe nadzieje



Sydney Wooderson w akcji

je pokładam w H. A. Olneyu, sprintochroniarzu z czasów wojny, który jest jednym z najcenniejszych odkryć lekkoatletycznych bieżącego roku. Peter Ward, był rekordzista angielski na tym dystansie, ma zamiar powrócić na bieżnię; spotkał go nawet zaszczyci umieszczenia jego nazwiska na prowizorycznej liście.

Nazwisko Sydneya Woodersona, fenomenalnego długodystansowca, nie figuruje na liście; nie znaczy to jednak, aby jego start na Olimpiadzie w konkurencji 5,000 m był wykluczony.

J. H. Petersa i R. G. Gesneya uważam za najsielsze punkty reprezentacji brytyjskiej w dziedzinie 10 tys. m. Natomiast zdziwiłbym się bardzo, gdybysmy na 110 m przez wysokie płotki znaleźli zawodnika szybszego, niż Donald Finlay, który w Los Angeles zajął w finale tej konkurencji trzecie miejsce, a w czterym lata później (w Berlinie) drugie. Jakkolwiek w tej chwili liczy on sobie 40 lat, ten as lotnictwa myśleńskiego osiąga jeszcze bez trudu czas 14,6 sek. na dystansie 100 m przez wysokie płotki. Największe szanse wejścia do finału posiada Harry Whittle.

Nigdy dotąd nie byliśmy tak silni w ekoku wzwyż, jak obecnie, gdy kon-

kurencja ta obsadzona jest przez Alana Patersona (Szkocja) i księcia Adeloyda (Nigeria). Paterson dopiero co ustawił nowy rekord brytyjski ekokiem 2,02 m, a Adeloyd przekrobił lekko wysokość 1,96 m. Książę z Nigierii został również wyznaczony do ekoku w dal i można polegać na nim.



Kapitan Whittle (anglia) w biegu na czterysta metrów

że w tej dziedzinie potrafi uzyskać ponad 7,32 m. Jeśli chodzi o trójskok, oceniam szansę brytyjską na zajęcie któregoś z pierwszych sześciu miejsc, jako bardzo nikle, a i w ekoku o tyczce musimy poczynać znaczne postępy, jeśli chcemy czegoś tutaj dokać.

W rzucie młotem MCD Clark jest dostatecznie groźnym zawodnikiem, aby wzbudzić obawy najlepszych przeciwników zagranicznych. Mam też nadzieję, że jeśli chodzi o pchnięcie kulą, dr H. E. A. Moody poprawi znacznie swoją formę przed Olimpiadą. Również należy się spodziewać, że Malcolm Dalyrymple osiągnie dłuższe rzuty oczkiem, niż dotychczas.

Bardzo optymistycznie oceniam nasze szanse na bieg maratoński, mimo świetnej pozycji Finlandii w tej konkurencji, a Jacka Holdena uważam za najlepszego maratończyka brytyjskiego. Jest on moim zdaniem, lepszy nawet niż Ernie Happer, który w Berlinie w r. 1936 przyszedł drugi po Japończyku Son. H. J. Forbes i C. Megmian, który na mistrzostwach Europy zajęli kolejno drugie i trzecie miejsce w maratonie na 50 km, będą reprezentować Anglię w tej konkurencji. Nie będzie też dla mnie żadną niespodzianką, jeśli Harry Churcher odniesie sukces w maratonie na 10 km, bowiem zawodnik ten jest obecnie w tak świetnej formie, jakiej nie oglądaliśmy jeszcze w ciągu jego nieprzejętej kariery.

Wyniki rozgrywek ligowych

Klasa I. Aston Villa — Preston North 4:1; Blackburn Rovers — Bolton Wanderers 4:0; Blackpool — Liverpool 2:0; Chelsea — Arsenal 0:0; Derby County — Middlesbrough 4:2; Everton — Sheffield United 2:0; Burnley — Grimsby Town 2:1; Charlton Athletic — Huddersfield Town 1:0; Manchester City — Portsmouth 1:0; Sunderland — Stoke City 1:0; Manchester United — Wolverhampton Wanderers 6:2.

Czołowe pozycje

	ilość gier	skos.	bramki	ilość punktów
Arsenal	14	26:7	23	
Preston North End	15	23:21	21	
Blackpool	15	19:10	19	
Burnley	14	16:10	18	
Charlton Athletic	14	26:25	17	
Wolverhampton Wanderers	14	33:26	16	
Derby County	15	20:16	16	

Australijski „Brumby” i jego pogromca

Australijscy ujeżdżacze koni twierdzą, że najlepszymi jeźdźcami nie są bynajmniej pasterze z Queenslandu, ani też straż konna z zachodnich stępów. Ich zdaniem najwytrawniejszymi poskromicielami koni „brumby” są prawdopodobnie górale z okolic Snowy River, z najbardziej na południowy wschód wysuniętego zakątka Nowej Południowej Walii.

„Brumby” — to dzikie konie. Nikt nie wie na pewno skąd pochodzi ich nazwa — czy od tubylczego słowa „boramby”, czy też od nazwiska majora Wiliama Brumby z Richmondu, który w XIX wieku wyhodował więcej koni, niż mógł ich ujeżdżać. Jedno nie ulega wątpliwości — to mianowicie, że w ostatnich latach konie

tem dopiero zaczyna się właściwie ujeżdżanie.

Rozmaiti ujeżdżacze używają różnych sposobów. Większość Australijczyków najchętniej posługuje się długim na 3,5 metra pretem, którym łaskoczą grzbiet i nogi konia, aby przyzwyczać go do dźwignieć. Inni używają starego sposobu cowboyów, polegającego na potrząsaniu ponad grzbietem uwiązanego konia derką. Utrzymanie derki w ciągłym ruchu, mimo skoków i „protestów” konia jest specjalną sztuką.

Gdy „brumby” zostanie wreszcie oswojony, okiełzany i przyzwyczajony do popregu, nadchodzi czas jazdy. Niektórzy sądzą, że jeśli dmuchna w nozdrza podjezdka, pomoże im to



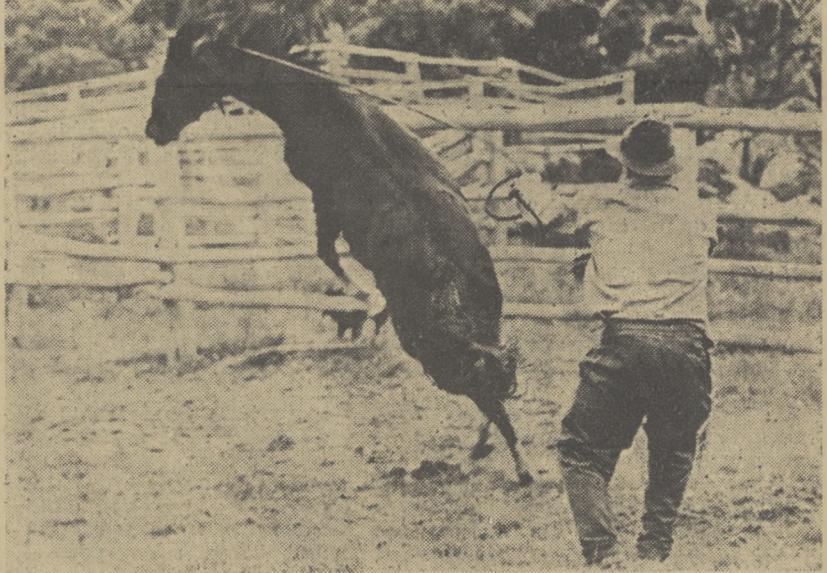
Łapanie dzikich koni na lasso.

„brumby” stały się istną plagą Australii. W czasie wojny, gdy trudno było sprawować nadzór nad nimi, rozmnożyły się ogromnie, pustosząc pastwiska na wielu obszarach kontynentu. Dotknęło to w pierwszym rzędzie hodowców owiec, którzy oceniali, że jeden dziki koń spasa tylko trawy, ile potrzeba do wyżywienia pół tuzina owiec. Niektórzy z farmerów domagają się, aby przegnać stada „brumby” z obszarów pastwiskowych, inni uważają, że taniej i praktyczniej jest płacić niewielkie premie strzelcom za głowę każdego konia, względnie truć je masowo przy wodopojach. Ale przewidujący osadnicy z okolic, w których konie nie stały się jeszcze zbyt liczne, wolały wyłapywać je i ujeżdżać, aby służyły pod wierzch pasterzom.

Poskromienie koni „brumby” jest

dosiąśgo. Inni słuwiąją przesadnie na siodło, w przekonaniu, że przekrobią się go lepiej trzymać. Niektórzy ujeżdżacze australijscy praktykują sztuczkę amerykańskich cowboyów, zakrywając lewe oko kuca lewą dlonią w chwili dosiadania. Większość z nich jednak po prostu dociąga pasa, wciska mocno kaptur, służy na głowę, ściąga wewnętrzna wodzę, puszcza luzem zewnętrzna i skacze na siodło. Buntownicy „brumby” próbują z początku paru lekkimi podskokami pewności dosiądu swego jeźdźca; potem nagle zaczynają szaleć i brykać, wykonywać najdziwaczniejsze susy, rzucać się na wszystkie strony. Jeśli jeździec jest dobry, utrzyma się na siodle. Jeśli jest dospokojny, potrafi zmęczyć konia, nie żamiąc jego temperamentu.

„Brumby” zawsze przegrywa. Ale

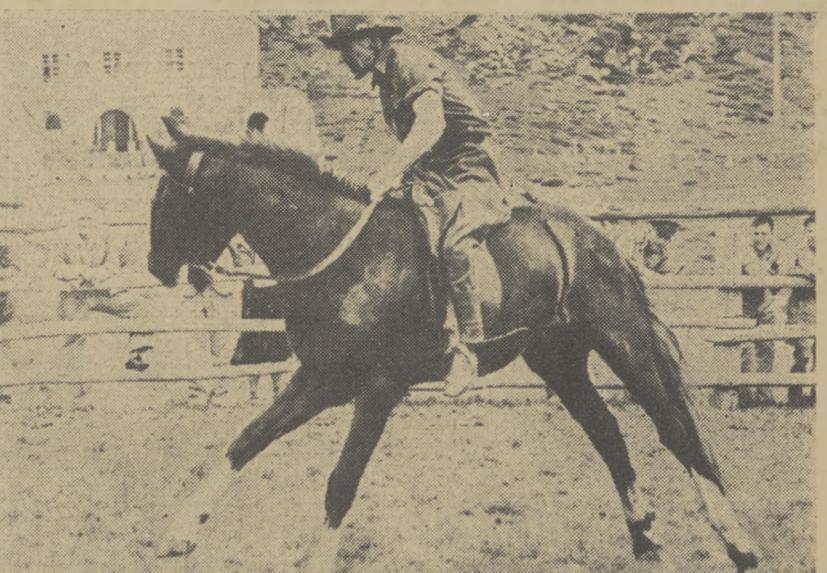


Ostatnia rozpaczliwa próba wydostania się na wolność!

sprawą, do której podchodzi należycie z ostrożnością i znajstwem. Trzeba przede wszystkim odciągnąć go od stada i zagonić do ogrodzonego cokółnika. Gdy się to uda, trzeba go związać i, jeśli to konieczne, przewrócić, aby założyć mu kant. Po-

na dłuższą metę, ujeżdżacz jest tym, któremu przypada cięższy los. Poskromiony koń pozostaje... nieposkromiony. Tymczasem na zawodowego ujeżdżacza czekają dalsze setki rozhukanych „brumby”, gotowych wytrącić z niego wewnętrzności!

(Z „Picture Post”)



Dzikie konie „Brumby” nareszcie ujarzmiony i osiodlany, zmienia się powoli w posłusznego wierzchowca.



H. A. Olney (Anglia)